

odgłosy



27 (711)

4. VII. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. P. Jaskow

PSYCHOLOG PILNIE POSZUKIWANY

Z prof. dr STANISŁAWEM GERSTMANNEM
KIEROWNIKIEM
ZAKŁADU PSYCHOLOGII UL
ROZMAWIA WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

— Panie Profesorze, czy prawdą jest, że władze uniwersyteckie zabiegają o reaktywowanie w przyszłym roku akademickim działalności dydaktycznej katedry psychologii?

— Tak. Władze Uniwersytetu Łódzkiego wystąpiły z taką inicjatywą. Teraz czekamy na decyzję i mamy nadzieję, że będą to decyzje pomyślne.

— Wznowienie działalności dydaktycznej tej katedry jest nader pożądane i, jak sądzę, uzasadnione potrzebą społeczną?

— Niewątpliwie. Skorzystałoby na tym całe nasze środowisko, zarówno poszczególne instytuty naukowo-badawcze, jak i wiele ośrodków pracy w Łodzi i w województwie. Niemal wszystkie placówki poradnictwa wychowawczo-zawodowego, ośrodki selekcyjne, a także placówki służby zdrowia oraz pracownie, zajmujące się humanizacją pracy w przemyśle, odczuwają braki kadrowe. Proces humanizacji pracy — a mam tu na myśli przede wszystkim nasze wielkie przemysłowe miasto i region — nie może się rozwijać pomyślnie i nabierać tempa ze względu na brak fachowców w tej dziedzinie. Szczególnie w zakresie psychologii.

— Wylania się skomplikowany problem. Placówki, o których Pan Profesor wspominał, działają już po kilka lub kilkanaście lat i, w niektórych, funkcje psychologów pełnią — obok psychologów z wykształcenia — również ludzie z wykształceniem pokrewnym tej dziedzinie nauki. Podczas długoletniej pracy zdobyli oni, może nie wszystkie, ale znaczna część, dużą wiedzę drogą praktyki i samokształcenia. Są to wszystko ludzie z wyższym wykształceniem. Byłoby wysoce krzywdzące przekreślić ten cały ich dorobek jednym pociągnięciem pióra. Sądzę, że należałoby im w jakiś sposób umożliwić uzupełnienie studiów w zakresie psychologii.

— Istotnie. Częstokroć funkcje te pełnią absolwenci pokrewnych dyscyplin naukowych, głównie pedagogiki. Zgadza się, że jest to kwestia skomplikowana. Niestety, nie widzę na razie wyjścia z tej sytuacji, ponieważ obecnie nie mamy żadnych możliwości, aby dokształcać ich w jakiegokolwiek formie. Na przykład na studiach podyplomowych. Reaktywowanie studiów psychologicznych zmieniłoby tę sytuację radykalnie: osoby, mające braki w przygotowaniu zawodowym, mogłyby uzupełniać swą wiedzę, a równocześnie przybywałoby sukcesywnie absolwentów psychologii, kształconych na naszym uniwersytecie.

Dalszy ciąg na str. 3

FELIKS BĄBOL

WYJŚCIE Z DŻUNGLI

czyli —
wokół nowego prawa pracy

Dwa grube i ciężkie tomiska, dwie „cegły” o objętości... 1834 stron, zawierające niezliczoną ilość przepisów i norm prawnych. Może się w nich zgubić nie tylko robotnik, którego te tomiska powinny przede wszystkim interesować, nie tylko inżynier i technik, nie tylko dyrektor fabryki — a przecież w tych „cegłach” jest cała mądrość na temat wzajemnych stosunków pracownik-pracodawca. W tym gąszczu przepisów może się zgubić nawet prawnik. Taka jest też opinia wytrawnego prawnika, znawcy prawa pracy, mgr Tadeusza Kępnika, z którym niedawno rozmawiałem i który od szeregu lat w łódzkiej WKZZ broni słusznych z punktu widzenia obowiązujących przepisów interesów przedstawicieli załóg, wyjaśnia skomplikowane zasady działania owej prawniczej

dżungli. Postarajmy się jednak wejść do niej na chwilę.

W obowiązującym dotychczas zbiorze prawa pracy znajdujemy więc przepisy międzywojenne — np. ustawę o czasie pracy z 1919 r., o ochronie pracy kobiet z 1924 r., przepisy o nawiązywaniu i rozwiązywaniu stosunku pracy z 1928 r. Z okresu władzy ludowej weszły do prawa pracy liczne ustawy, dekrety, rozporządzenia, zarządzenia, uchwały Rady Ministrów, instrukcje a nawet okólniki (np. w sprawie jedynych żywicieli), orzeczenia Sądu Najwyższego i orzeczenia CRZZ, wyjaśnienia Komitetu Pracy i Plac i rozporządzenia byłego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

Dalszy ciąg na str. 2

Z myślą o człowieku i jego potrzebach

Decyzja IX plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR o zwolnieniu na przełomie lat 1971/72 VI Zjazdu Partii narzuca wysokie tempo prac przygotowawczych. W tezach przedzjazdowych, które poddane zostaną powszechnej dyskusji, szczególnie wiele miejsca zajmą kierunki gospodarczego rozwoju kraju. Dlatego niemal bezpośrednio po grudniowych przeobrażeniach podjęto prace nad skonstruowaniem nowego planu pięcioletniego, który by jak najwierniej oddawał program partii i — na miarę naszych możliwości — zapewniał maksymalnie wysokie podniesienie stopy życiowej społeczeństwa. Wielokrotnie już Biuro Polityczne i rząd rozpatrywały różne aspekty tego rozwoju, toczyły się liczne dyskusje. W dniach 24 i 25 czerwca węzłowe problemy społeczno-gospodarczego rozwoju kraju w latach 1971-75 były omawiane na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego.

Odmienne, niż bywało to w dotychczasowej praktyce, Komitetowi nie przedłożono skończonego i zamkniętego projektu do akceptacji, dyskusję na tym forum podjęto w fazie wciąż jeszcze prowadzonych prac nad planem. Chodziło o to, aby członkom KC dać możliwość aktywnego włączenia się do wypracowania najlepszego z możliwych wariantów. Tej idei podporządkowany został również przebieg plenum. Po referacie, wygłoszonym w imieniu Biura Politycznego przez premiera P. Jaroszewicza, uczestnicy plenarnego posiedzenia toczyli dyskusję w czterech zespołach roboczych, z prac których sprawozdania złożono w

drugim dniu obrad. Ta forma przeprowadzenia plenum, zupełnie nowa w praktyce centralnej instancji partyjnej, sprawiła, że głos zabrało aż 81 uczestników obrad, a dyskusja była bardzo konkretna. Skupiała się ona wokół węzłowych dla nas problemów:

- wzrostu stopy życiowej społeczeństwa,
- podstawowych kierunków i proporcji rozwoju gospodarki,
- rolnictwa, przemysłu rolno-spożywczego, kompleksu zagadnień żywnościowych i polityki rolnej,
- zagadnień rozwoju regionów wojewódzkich.

Podstawę do niej dał rząd w projekcie wytycznych, które, za aprobatą Biura Politycznego, przedstawione zostały uczestnikom X Plenum. Zanim je omówimy — podkreślimy raz jeszcze: dyskusja nad planem nie została zamknięta. Będzie się ona toczyć nadal, chociażby w Komisji Zjazdowej. Ta bowiem ma przedłożyć we wrześniu Komitetowi Centralnemu skonkretyzowany projekt wytycznych rozwoju gospodarczo-społecznego kraju, który będzie podstawą do opracowania materiałów zjazdowych. A zatem także na Zjeździe, a jeszcze później na sesji sejmowej, wypracowany będzie ostateczny kształt planu wieloletniego. Ta wydłużona procedura ma umożliwić zgromadzenie kapitału myśli i inicjatywy, optymalne rozwiązanie złożonych problemów gospodarczego i społecznego rozwoju kraju. Stanowi to cenne novum będące ilustracją pogrudniowego stylu pracy kierownictwa partii i rządu.

Jakie idee i cele przyświecają projektowanemu kierunkom rozwoju kraju w pierwszej dekadzie lat siedemdziesiątych?

Przewidywany rozwój gospodarki w latach 1971-75 wyraża się w zwiększeniu dochodu narodowego pod koniec tego okresu o 38-39 proc. Przyjmuje się zasadę, że w tej samej skali powinien powiększać się fundusz spożywczy i dochód osobistych. Realne płace wzrosną w tym okresie o 17-18 proc., czyli zamierza się osiągnąć taki przyrost zarobków w gospodarce uspołecznionej, na jaki poprzednio potrzebny był okres więcej niż dziesięciolecie. W toku dotychczasowych prac rozważano różne warianty wzrostu płac — wyższe i niższe. Ten jednak jest najbardziej realny, znajduje pokrycie w możliwym do osiągnięcia zwiększeniu produkcji i usług.

Program poprawy położenia materialnego ludności nie ogranicza się tylko do tego elementu. W omawianym okresie znajdzie zatrudnienie ok. 3,5 mln młodzieży wchodzącej w wiek zdolności produkcyjnej. Dla 1,8 mln młodych ludzi trzeba więc przygotować nowe miejsca pracy. Rozwinięte zostanie na dużą skalę budownictwo mieszkaniowe. Według dotychczasowych założeń, a w toku obrad plenum podkreślano, iż corocznie założenia te powinno się

weryfikować i zmieniać w górę, plan budowy mieszkań wzrasta o ponad 25 proc. Nie zaspokoi to jeszcze naszych potrzeb, ale obecne trudności zładodzi. Tym bardziej, że równocześnie wchodzimy na drogę poprawy standardu mieszkań i zwiększania ich powierzchni. Poważnie, bo o 59 proc., powiększa się nakłady inwestycyjne na gospodarkę komunalną. Będą one wykorzystane na uzbrojenie terenów, co pozwoli rozwinąć na większą skalę budownictwo mieszkaniowe w kolejnym pięcioletniu, oraz na rozwiązanie dokuczliwego problemu zaopatrzenia wielkich skupisk ludności w wodę i poprawę komunikacji miejskiej.

O warunkach życia ludności decyduje także tempo wzrostu spożycia zbiorowego. Ochrona zdrowia, rozwój nauki i oświaty, warunki socjalne w zakładach pracy — to sprawy nie mniej ważne niż zarobki. We wszystkich tych dziedzinach przewiduje się więc odrobienie wielu opóźnień i zaniebań — kosztem wysokich nakładów finansowych.

Wymienione przykłady nie wyczerpują całości zmian, jakie zostaną dokonane z myślą o poprawie sytuacji materialnej ludności.

Troska o poprawę warunków bytowania w założeniach planu pięcioletniego idzie w parze z harmonijnym rozwojem gospodarki kraju. Oto kilka liczb, ilustrujących nakreślone w tej dziedzinie zadania:

- na inwestycje zamierza się przeznaczyć 1.290 mld zł,
- przemysł ma zwiększyć swą produkcję o 48-50 proc., przy czym wzrost produkcji grupy B ma wynieść 42 proc., (wobec 36 proc., w poprzednim pięcioletniu),
- produkcja rolna wzrośnie o 18-21 proc., ale wzrost tempa produkcji zwierzęcej będzie wyższy niż roślinnej.

Czy tak ambitnie zarysowane zadania są realne? Tak, wymagają jednak potania i skrócenia inwestycji, podniesienia społecznej wydajności pracy oraz obniżenia poziomu zużycia materiałowego i kosztów produkcji. Te zaś — całego programu przedsięwzięć organizacyjnych, nad którym obecnie się pracuje.

★

Obrady X Plenum KC tchnęły dużym optymizmem. Wyłoniła się z nich wizja kraju za lat pięć — gospodarczo umocnionego, zapewniającego obfitość artykułów spożywczych i przemysłowych, w którym warunki życia ludności będą nieporównanie lepsze niż obecnie. To już dostatecznie wiele powodów do nadziei. Realnych nadziei, gdyż praktyka dnia dzisiejszego wykazuje pełną zgodność dążeń społeczeństwa z działaniem kierownictwa partii i rządu.

W. SŁAWSKI

czyli — wokół nowego prawa pracy

Wyjście z dżungli

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Rzeczywistość prawną naszych czasów stanowią wreszcie układy zbiorowe zawierane przez zarządy główne poszczególnych związków zawodowych z poszczególnymi resortami, które obok działań przepisów ogólnych prawa pracy zawierają postanowienia szczegółowe odnoszące się do sytuacji konkretnych grup zawodowych.

Zawilość, nieprzejrzystość, skomplikowanie — wszystko to sprawiło, że ze wspomnianych dwóch „cegieł” o objętości 1334 stron mało kto fachowo korzysta, zaroliło się w kraju od poradcików w zakresie prawa pracy, w których autorzy starali się zawrzeć istotę najważniejszych postanowień prawa, ale którym brak szczegółów — czasem decydujących w rozpatrzeniu tej czy innej sprawy. A oto inne skutki działania prawniczej dżungli.

Pracownicy dopiero po czasie dowiadują się, że za mało otrzymali z tytułu pracy w godzinach nadliczbowych. Zgłaszają swe pretensje, ale okazuje się, że już nie można zrobić dla naprawienia błędów administracji, gdyż roszczenie uległo przedawnieniu. Straty z powodu zawilości przepisów ponoszą i administracje fabryczne, często — jak twierdzą prawnicy — placą „gapowe” nie za to, że zwolnili jakiegos pracownika, ale za to, że zwolnili go nieformalnie, np. bez zgody rady zakładowej, bez dopełnienia określonych prawem formalności itp. I wydziały personalne są zagubione.

— Nieraz muszę kadrowcom dyktować treść wy mówień z tzw. skutkiem natychmiastowym — opowiadał mi pewien działacz związku obeznany z wszystkimi subtelnościami prawa pracy — znają niby to przepisy, ale wołają się poradzić, gdyż chcą spać spokojnie.

I jeszcze o skutkach. Na 3 tys. skarg jakie od pracowników z Łodzi i województwa napływają w ciągu roku do łódzkiej WKZZ (tych skarg w całym kraju

napływa ponad 50 tysięcy!) aż 65 proc. stanowią skargi sżsne, w rezultacie których administracje zakładów placą wysokie odszkodowania. Tylko dlatego, że w odpowiednim czasie administracja nie potrafiła odpowiednio rozemnać się w obowiązujących przepisach.

Specjaliści, prawnicy, praktycy opracowali kolejny, siódmy — i chyba już ostatni — projekt nowego kodeksu pracy. Ogólnie wiadomo już, że kodeks ma być bardziej przejrzysty i powszechnie zrozumiały a więc dostępny. Czekają nas jeszcze etap uzgodnień w łonie komisji rządowo-związkowej, niezbędnych choćby z tego powodu, że kodeks nie może stanowić regresu jeśli chodzi o przywileje i uprawnienia ludzi pracy, a przeciwnie — postęp, rozszerzenie uprawnień zaś musi kosztować. Po tych uzgodnieniach rozpocznie się szeroka dyskusja i konsultacja z załogami największych zakładów pracy w kraju. Konsultacje środowiskowe, potem prawdopodobnie projekt znajdzie się na porządku obrad przyszłorocznego Kongresu Związków Zawodowych, po czym stanie się przedmiotem obrad Sejmu, by nowe przepisy ogólnie zrozumiałego i przejrzystego prawa pracy, mogły wejść jako ustawa do codziennej praktyki.

Projekt przewiduje likwidację szeregu anachronizmów. Na przykład — podziału pracowników na fizycznych i umysłowych. Ten proces został już zapoczątkowany niedawną ustawą urlopową, w której fakt, że ktoś jest pracownikiem umysłowym czy fizycznym nie ma w zakresie wymiaru urlopu żadnego praktycznego znaczenia. Zatarcie zostaną także niewątpliwie liczne różnice między sytuacją pracowników przemysłu i pracowników rolnych, rozszerzeniu mają ulec uprawnienia kobiet pracujących — dalsze ograniczenia nocnej pracy kobiet — matek małych dzieci, zasady ochrony zdrowia ciężarnych, przedłużony ma być urlop bezpłatny na odchowanie małego dziecka.

Twórcy nowego projektu prawa pracy dość mocno zaakcentowali problemy o dużej randze społecznej i wychowawczej, a więc ochrony trwałości stosunku pracy, wartości wieloletniej nienagannej pracy w danym zawodzie. Trwałość stosunku pracy proponuje się ochronić albo poprzez dotychczas stosowane wyrażenie zgody rady zakładowej na wypowiedzenie pracy albo — problem jest jeszcze dyskusyjny — poprzez brak sprzeciwu ze strony organizacji związkowej. Projekt przewiduje nagrody i wyróżnienia dla wzoro-

wych pracowników z długoletnim stażem, premiuje jednym słowem emocjonalny stosunek do zakładu pracy, przywiązanie i zaangażowanie pracownika w losy przedsiębiorstwa czy fabryki. Będzie to mieć bezsprzecznie ogromne znaczenie dla problemu stabilizacji załóg, dla przeciwdziałania nadmiernej w niektórych zawodach i przedsiębiorstwach fluktuacji.

Przeciwko fluktuacji „zagrają” także inne postanowienia projektowanego prawa pracy, a wynikające ze zrównania i ujednolicenia sytuacji pracowników umysłowych i fizycznych. Bo jeśli ślusarz zatrudniony w placówce służby zdrowia korzystał z zupełnie innych uprawnień socjalnych niż ślusarz z przemysłu metalowego — to po pewnym czasie odchodził z tej placówki szukając lepszych warunków pracy u innych pracodawców. Ślusarz to tylko przykład zjawiska, które ma miejsce dość powszechnie. W różnych sytuacjach znajdują się również pracownicy jednego i tego samego pionu — np. niektórzy pracownicy handlu mają prawo do tzw. premii jubileuszowej, a inni nie mają, duże zróżnicowanie uprawnień i sytuacji socjalnej wprowadziły do praktyki układy zbiorowe i to niezależnie od faktu, że ludzie nie negują konieczności stosowania nieco innych kryteriów oceny pracy w zawodach szczególnie niebezpiecznych dla zdrowia czy nawet życia.

Oczekuje się, że nowy kodeks pracy zlikwiduje rażące nonsensy.

Oto przykłady. Inżynier — po Politechnice Warszawskiej — zatrudniony był w pewnym przedsiębiorstwie jako pracownik fizyczny, gdyż jako umysłowy — zgodnie z obowiązującymi tam normami wynagrodzenia, zarabiał o wiele mniej, nawet prawnik pracujący w WKZZ korzysta z innych uprawnień niż podobny prawnik w branżowym związku zawodowym.

Oczywiście — nie wszystkie jeszcze problemy są wyjaśnione. Tak np. brak ostatecznej precyzji w sprawie trybu rozstrzygnięcia sporów wynikających ze stosunku pracy, dotychczasowe rozwiązania zaś są wielowariantowe, trzeba więc wybrać najslusniejszy wariant. Już dziś jednak wiadomo, że kodeks pracy będzie w stosunkach społecznych dalszym, zasadniczym krokiem postępu. Pewne jest bowiem, że w zasadniczym stopniu przyczyni się do ułatwienia korzystania z przepisów prawa w miejscu pracy, umożliwiając wszystkim zainteresowanym wyjście z dżungli.

FELIKS BĄBOL

JERZY WILMAŃSKI

Święto „Głosu Robotniczego”

Tradycje rodzą się spontanicznie. Kiedy w roku ubiegłym obchodzono uroczyste czterdzieste „Głosu Robotniczego” okazało się, że istnieje autentyczna społeczna potrzeba festynu, będącego odświętną płaszczyzną kontaktu gazeta — czytelnik. Bo przecież ten kontakt na co dzień istnieje i tak — tysiące listów napływa do redakcji „Głosu”, ty-

siać rak wyciąga się każdego ranka po gazetę o charakterystycznym kroju winiety, tradycyjnej pozostałości z pierwszych lat powojennych, kiedy tytuł „Głosu Robotniczego” składano drewnianą czcionką.

Ale właśnie przed rokiem ujawniła się potrzeba takiej odświętnej płaszczyzny, potrzeba festynu i zabawy, atrakcji i koncertu... I tak

nieoczekiwanie narodziła się tradycja święta „Głosu Robotniczego” — największej łódzkiej gazety. W czerwcu 1945 roku w parę tygodni po zakończeniu wojny rozpoczęła się obecność „Głosu” w kręgu łódzkich czytelników. Zaczęło się skromnie od czterech kolumn i kilkunastu tysięcy nakładu — dziś sobotnie wydanie „GR” przekracza pół miliona egzemplarzy i wciąż słyhać narzekania, że gazeta znika z kiosków jak sen jakiś zły, że dostaje ją trudno.

Ten festyn, ten czerwcowy festiwal rozrywki i zabawy, któremu patronuje redakcja, jest więc premią dla tysięcy czytelników za przywiązanie do swojej gazety, za wierność piśmu. A owe czterdzieć milionów uczestników w świątecznych festynach i imprezach — to jeszcze je-

den dowód związku gazety z czytelnikiem.

„Staje się już piękna tradycja to, że w czerwcowe dni wypełniają się gwarem, muzyką i śpiewem tereny Ludowego Parku na Zdrowiu — powiedział I sekretarz KE PZPR, Bolesław Koperski — że łódzianie zabawa i uśmiechem, swoim udziałem w licznych imprezach kulturalnych, artystycznych i sportowych uczestniczą w święcie swojej gazety — „Głosu Robotniczego”, organu KE i KW PZPR. Hasło, jakie przyjęła za cel działania ta najpoczytniejsza z łódzkich gazet, brzmi: „Głos Robotniczy wszędzie z tobą”, a więc w pracy, w rozwiązywaniu codziennych trosk, w nauce, w przebudowie Łodzi i nowoczesnym miastem, ale także w zasłużonym odpoczynku i rozrywce”.

Święto „Głosu Robotniczego”, organizowane z trudem i poświęceniem przez zespół redakcji, wchodzi trwale do tradycji miasta. Nie tylko zresztą miasta — na festynie wzięli udział przedstawiciele autokarów z terenu województwa, bo przecież „GR” dociera do wszystkich zakątków Ziemi Łódzkiej, wydaje specjalne mutacje dla określonych rejonów, poświęca sprawom terenu swoje łamy w równym stopniu, co sprawom miasta. Można właściwie mówić o dwu wielkich gazetach, które stanowią jedność.

Mało kto wie, ile trudu i organizacyjnej ekwilibrystyki wymaga przygotowanie imprezy na taką skalę — jak czerwcowe święto „GR”. Mało kto wie, ile trudu i bezsennych nocy wymaga redagowanie wielkiej gazety codziennej o kilku wyda-

niach. I oto ów czterdziestoparocobowy zespół od wielu tygodni równocześnie nie przygotowywał festiwalu rozrywki i redagował gazetę. Była to praca gigantyczna.

Zaowocowała pięknym festynem i nawet kapryśna pogoda ugięła się przed trudem dziennikarzy i okazała swą łaskawość w niedzielne popołudnie.

Święto „Głosu Robotniczego”, gazety, która nam towarzyszy codziennie, z którą rozpoczynamy dzień pracy — przypominało nam w dzień świąteczny, że to już ponad ćwierć wieku, że to już drugie pokolenie dziennikarzy mówi nam o świecie, w którym żyjemy... „Głos Robotniczy” wszędzie z tobą — to właściwie nie jest już ani hasło, ani zachęta — to jest po prostu prawda.

Psycholog pilnie poszukiwany

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Sytuację osób z niepełnym wykształceniem psychologicznym skomplikuje opracowywana ustawa o zawodzie psychologa i już ogłaszane rozporządzenia resortowe. Orzekają one, iż funkcje psychologa mogą wykonywać tylko osoby z wykształceniem psychologicznym w zakresie jednej ze specjalizacji zawodowych.

Jeśli nie uprzędzimy wspomnianego orzeczenia, reaktując studia psychologiczne na UL, a także tworząc odpowiednie formy kształcenia podyplomowego, wiele osób z Łodzi i województwa znajdzie się w krytycznym położeniu.

— Tym bardziej, że są to już ludzie dojrzały, zaawansowani rodzinnie i studia w miejscu zamieszkania, bez odrywania od pracy, są dla nich sprawą wielkiej wagi.

— Tak. Dodam jeszcze, że jak nam wiadomo, znaczna część studentów psychologii, którzy pochodzą z naszego regionu, a studiują w innych ośrodkach naukowych w kraju, nie kończy studiów głównie z powodu trudności, wynikających z pobytu poza miejscem zamieszkania rodziny.

Jest nader przykre i krzywdzące nasz wielki region, że w ośrodkach znacznie mniejszych od Łodzi i województwa przygotowuje się na studiach psychologów-praktyków. Natomiast nasze miasto i okęg, tak wysoce uprzemysłowione, odczuwają ostry i permanentny brak wyspecjalizowanej kadry psychologów.

— Na marginesie nasuwa się niepokojąca refleksja: jeśli te wszystkie działania nie zostaną zsynchronizowane, powstanie duże zamieszanie. Wykonujący dotąd funkcje psychologów już nie będą mogli ich wykonywać, a odpowiedniej liczby psychologów jeszcze nie będzie. Taki stan może potrwać kilka lat.

Panie Profesorze, Uniwersytet Łódzki był niegdyś bodaj najbardziej prężnym w Polsce naukowo-badawczym ośrodkiem psychologii. Czy zechciałby Pan powiedzieć o tym kilka słów?

— Studia psychologiczne na UL powstały wraz z powołaniem do życia naszej uczelni. W roku akademickim 1946/47 istniały trzy zakłady: Zakład Psychologii I, którym kierował prof. A. Dryński, Zakład Psychologii II — kierował nim prof. E. Geblewicz oraz Zakład Psychologii Pedagogicznej, kierowany przez prof. M. Librachową. W roku akademickim 1949/50 powstał, jako czwarty, Zakład Psychologii Rozwojowej. Jego kierownikiem został prof. J. Pieter. Ponadto psychologię na UL wykładali między innymi prof. S. Baley i M. Zebrowska — z Uniwersytetu Warszawskiego oraz prof. N. Han-Ilgiewicz. W połowie lat pięćdziesiątych następuje stopniowa likwidacja studiów psychologicznych na UL. Ostatnim czynnym zakładem był Zakład Psychologii II, którego kierownik, prof. E. Geblewicz, został urlopowany w roku 1956. W roku akademickim 1958/59 rozpoczyna działalność katedra psychologii pod moim kierownictwem. Od połowy lat sześćdziesiątych katedra systematycznie przygotowuje warunki, które by umożliwiły wznowienie studiów psychologicznych na Uniwersytecie Łódzkim.

— Czy kadra naukowa, którą dysponuje Pan Profesor w tej chwili, będzie w stanie podjąć obowiązek dydaktyczny?

— Tak. Mamy na UL wystarczającą kadrę psychologów, aby rozpocząć pracę dydaktyczną z chwilą wznowienia studiów psychologicznych. Stopniowo wprowadzilibyśmy specjalizację w trzech podstawowych kierunkach: w zakresie psychologii społeczno-wychowawczej, w zakresie społecznej psychologii pracy oraz psychologii klinicznej. Mamy również perspektywę szybkiego rozwoju naszej kadry, jak również jej uzupełniania z zewnątrz. Rok akademicki 1971/72 rozpoczniemy dysponując kadrą, złożoną z ośmiu osób, zaś następny — z dziesięcioma osobami, w tym pięć osób ze stopniem doktora n. h. w zakresie psychologii.

— Kierunek społecznej psychologii pracy wydaje mi się bardzo ważny z punktu widzenia potrzeb naszego przemysłowego regionu.

— Nie tylko. Dwa pozostałe są również ważne. Absolwenci pierwszego kierunku byłiby przygotowani do pracy w instytucjach wychowawczych, jak poradnie wychowawczo-zawodowe i poradnie zdrowia psychicznego, internaty, szkoły i temu po-

dobne. Drugi kierunek specjalizowałby psychologów do zadań w kształtowaniu właściwych warunków współdziałania i pracy w zespołach, rozwijaniu korzystnych procesów motywacyjnych, postaw społecznych i zawodowych, czy też zasad właściwego kierownictwa. W specjalizacji z psychologii klinicznej kształciłiby się przyszli pracownicy szpitali i klinik dziecięcych oraz klinik dla dorosłych, a także psychologowie szpitali i innych — poza psychiatrią — specjalności medycznych. Na przykład chirurgii, położnictwa i innych.

— Jakże prace naukowo-badawcze prowadzi katedra?

— W ostatnich latach nasz zespół skupia prace badawcze wokół kilku głównych problemów. Ja zajmuję się przede wszystkim psychologią i teorią osobowości. Moi współpracownicy, na przykład dr Barbara Warzyńska, prowadzi badania w zakresie psychologii klinicznej, zaś dr Michał Warzyński opracowuje problemy z dziedziny psychologii społecznej. Prace dotyczące stosowania w psychologii technik filmowych i fotograficznych prowadzimy przy współdziałaniu mgr Marka Madeja.

Poza tym cały zespół, w oparciu o empiryczny materiał, uzyskiwany w badaniach szczegółowych tematów, zajmuje się metodologią badań psychologicznych. Opracowujemy głównie jedną z podstawowych metod w naukach społecznych, a mianowicie rozmowę i wywiad oraz poszczególne techniki metody eksperymentalnej. Zagadnienia te są w dużym stopniu opracowywane zespołowo. Na przykład rozpoczyna swoją działalność zespół badający psychologiczne techniki eksperymentalne. W jego skład wchodzi pracownicy naukowcy innych ośrodków akademickich, a mianowicie Warszawy, Poznania i Lublina.

Zagadnienia związane ze stosowaniem fotografii i filmu w naukach społecznych dyskutuje się w zespole, do którego wchodzi przedstawiciel archeologii, etnologii, pedagogiki społecznej, socjologii i wiedzy o filmie. Do prac tych włączają się również pracownicy naukowcy Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej.

— Czy katedra dysponuje wystarczającym zapleczem do celów badawczych i dydaktycznych?

— Tak. Dysponujemy nawet unikalną, jeśli chodzi o nasze szkoły wyższe, Pracownią Naukową Fotografii i Filmu Psychologicznego. Uzyskaliśmy ją w wyniku naszych wysiłków oraz dzięki życzliwości kierownictwa Wydziału Filozoficzno-Historycznego i Uczelni. Warto by może wspomnieć jako o ciekawostce, że film do psychologicznych badań naukowych zastosował prof. Szuman na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1926. Chcielibyśmy na Uniwersytecie Łódzkim kontynuować tę tradycję i ożywić badania nad możliwością stosowania obiektywnej fotograficznej i filmowej rejestracji zachowania się człowieka. Mamy poza tym dobrze wyposażoną pracownię badań testowych oraz laboratorium psychologiczne. Wzbogacamy je systematycznie w potrzebną aparaturę.

— Badania naukowe, prowadzone w katedrze kierowanej przez Pana Profesora, mają charakter wyłącznie teoretyczny?

— Nie, ponieważ mogą one mieć i mają zastosowanie praktyczne. Na przykład na zlecenie Łódzkiego Ośrodka Sportu i Turystyki przeprowadziliśmy psychologiczne badania żywiarzy figurowych we wczesnej specjalizacji. Do organizowania pracy w zespołach działających na rozmaitych terenach, będzie można wykorzystać badania prowadzone nad efektywnością aktywności jednostki w grupie oraz współdziałania w zespole, w zależności od charakteru pracy i psychospołecznych warunków działania. Jeżeli chodzi o kształtowanie motywacji ludzi, spodziewamy się także praktycznych efektów badań nad psychologią aspiracji.

Na aparaturze zaprojektowanej i zmontowanej u nas w Zakładzie przeprowadziliśmy pilotażowe badania zachowania się ludzi w sytuacjach stressowych, wywołanych w warunkach eksperymentalnych. Praktyczne zastosowanie będą też miały badania struktury czynności techniczno-konstrukcyjnych, prowadzone w oparciu o dokumentację filmową. W znacznej większości badań, prowadzonych

w naszym zakładzie, stosujemy techniki eksperymentalne i obserwacyjne, z których część jest oparta o najbardziej obiektywną dokumentację fotograficzną i filmową.

— Na Zachodzie przywiązuje się wielką wagę do wszelkiego rodzaju testów: na ocenę inteligencji, osobowości, wiadomości szkolnych itp. Również w Polsce odzywają się głosy o wprowadzenie takich testów. Co Pan o tym sądzi, Panie Profesorze?

— Mój stosunek do tych technik, podobnie jak ogromnej większości polskich psychologów, jest zdecydowanie krytyczny. Moim zdaniem, niektóre z nich nie powinny być w ogóle stosowane do poznawania osobowości, między innymi wiele tak zwanych technik projekcyjnych. Inne zaś tylko wtedy, jeśli są przystosowane do warunków naszego życia. Nie wolno zatem stosować obcych testów, na przykład amerykańskich, bez odpowiedniego ich opracowania i bez użycia przy tym innych jeszcze metod badawczych.

— Mógłbym prosić Pana Profesora o zapoznanie naszych Czytelników z własnym dorobkiem naukowym ostatnich lat oraz z dorobkiem pracowników naukowych katedry?

— Pracujemy intensywnie. Świadczy o tym, między innymi, sześć doktoratów, przeprowadzonych w ostatnich kilku latach. Nawiasem wspomnę, iż praca doktorska dr M. Warzyńskiej, na wniosek jej recenzentów, będzie przedstawiona do nagrody Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. Wyniki naszej pracy są systematycznie publikowane, choć nie tak szybko, jak byśmy tego pragnęli. Ograniczając się do ostatnich lat, wymienię mój podręcznik psychologii oraz pracę pt. „Wstęp do psychologii osobowości”, która ukazała się w roku 1969 w wydawnictwie Ossolineum, następnie drugą moją pracę: „Osobowość — wybrane zagadnienia psychologiczne” — rok 1970. W druku mam monografię: „Metoda rozmowy i wywiadu w psychologii”, która ukaże się w wydawnictwie PWN. Z prac dr Warzyń-

skiego wymienię rozprawę pt. „Model strukturywania się klasy szkolnej — 1969 oraz „Koncepcja eksperymentu jako modelu badanych faktów” — 1971 r.

Dr B. Warzyńska opublikowała m. in. rozprawę na temat „Próba psychologicznej interpretacji zachowania się dziecka nerwowego” — 1969 rok i „Agresja jako przypadek zaburzenia mechanizmów samoregulacyjnych zachowania” — 1971 r.

— I tu, przypuszczalnie, kandydatów ubiegających się o przyjęcie na studia psychologiczne, gdyby zostały one reaktywne na Uniwersytecie Łódzkim?

— Na podstawie niepełnych jeszcze danych można sądzić, iż w bieżącym roku o przyjęcie na ten kierunek studiów, w ośrodkach poza Łodzią, będzie się ubiegać ponad czterdziestu absolwentów szkół średnich z Łodzi i województwa. W razie wznowienia tego kierunku studiów na UL prawdopodobnie wszyscy oni pragnęliby studiować na naszym uniwersytecie. Do tej liczby należałoby jeszcze dodać pewną ilość tych absolwentów, którzy nie zabiegają o studia psychologiczne, gdyż nie mogą, lub nie chcą, studiować poza Łodzią.

— Czy zechciałby Pan Profesor powiedzieć kilka słów o funkcji psychologii w społeczeństwie?

— Użyteczność społeczna tej gałęzi wiedzy o człowieku znacznie wzrosła w ostatnim czasie. Psychologia może skutecznie uczestniczyć w tworzeniu lepszych warunków życia ludzkiego, jest praktycznie użyteczna w sferze profilaktyki psychicznej, ochrony zdrowia psychicznego w szerokim tego słowa znaczeniu. Zwiększa teraz, gdy gwałtowny rozwój techniki i skomplikowanie się warunków działania, nagły wzrost informatyki itp. stawiają człowieka pod wieloma naciskami naraz. Jednym z ważnych zadań psychologii jest nie tylko wskazywanie prawidłowości działających w tym zakresie, lecz również udział w przwracaniu równowagi i pełnej sprawności do pracy.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.



Fot. E. Kudaj

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE ROZPOCZYNAMY NOWY CYKLICZNY KONKURS WAKACYJNY „ODGŁOSÓW”.

NA ZWYCIĘZCÓW CZEKAJĄ NAGRODY W BONACH TOWAROWYCH ORAZ WYRÓŻNIENIA W POSTACI WYDAWNICTW ALBUMOWYCH.

Jak dr Ewa pohańbiła felczerów

ODWIEDZIEM FELCZERÓW, KTÓRZY WYTOCZYLI PROCES „DR EWIE”, A ŚCISLEJ TELEWIZJI, EMITUJĄCEJ TEN NAJGŁOSNIEJSZY POLSKI SERIAL. WSZYSTKO MOŻNA BOWIEM O TYM FILMIE POWIEDZIEĆ, TYLKO NIE TO, ŻE MINAŁ BEZ ECHA. PRAWDOPODOBNIEM WIELU TELEWIZORÓW POCZUŁO SIĘ TYM FILMEM OBRAŻONYCH, ALE TYLKO DWAJ ZDECYDOWALI SIĘ DOCHODZIĆ SWYCH PRETENSJI DROGĄ SĄDOWĄ. GWOLI SPRAWIEDLIWOŚCI NALEŻY DODAĆ, ŻE WIELU RÓWNIEMIEŻ SŁE DO TELEWIZJI LISTY Z PROŚBĄ O WZNOWIENIE „DR EWY”

Więć o niecodziennym procesie obiegła lotem błyskawicy cały kraj. Wiadomo, honoru to my, Polacy, potrafimy bronić. Jeden z felczerów tak napisał do Sądu Najwyższego: „Obecnie, po 15 latach pracy w Socjalistycznej Służbie Zdrowia na samodzielnych stanowiskach w Ośrodku Zdrowia i Pogotowiu Ratunkowym, zostałem rozmyślnie zniesławiony i pohańbiony przez Polską Telewizję, która w perfidny sposób poniżyła zawód felczera oraz pozbawiła go szacunku i honoru należnego obywatelowi PRL na każdym stanowisku pracy”.

Otóż w filmie faktycznie znajduje się scena, gdzie dr Ewa podaje w wątpliwość kwalifikacje starego felczera. Powiada w pewnym momencie, że powinien on raczej szczepić świnię i leczyć wzdęte krowy, a nie ludzi. Pomijając treść, forma też nie była zbyt elegancka, jak na absolwentkę stołecznej Akademii Medycznej. Zabolalo to wszystkich felczerów. Podążyli w sukurs swym kołegom ze Strzelce Opolskich. Eugeniusz Tulczyjew z Toszek otrzymał list z Tarnowa: „Solidaryzujemy się z panem w tej sprawie i gdyby zaistniała potrzeba, jesteśmy gotowi poprzeć finansowo. W imieniu podenastu felczerów tarnowskich — Zygmunt Lazarek”.

Drugi felczer, Jan Studenny, zamieszkały w Strzelcach Opolskich



Fot. W. Prażmowski

otrzymał z kolei list z Grodziska Mazowieckiego.

„Szanowny Kolego, jestem również felczerem medycyny i po 40 latach praktyki w tym zawodzie, mając dziś 70 lat, odszedłem na emeryturę. Tak, jak pan i nasz kolega z Toszek, oburzony jestem na telewizję, że znieważyla nasz piękny zawód, ośmieszając go w swym filmie „Dr Ewa”. Chciałbym przyjść panu z pomocą w przeprowadzeniu z pozytywnym wynikiem procesu. Rozmawiałem już na ten temat z córką — adwokatem, zgodziła się występować w tej sprawie”.

A więc to nie żarty, lecz sprawa poważna. Ruszyli felczerzy lawą na telewizję, wysyłają listy, protestują, zbierają się, organizu-

ją. Krąży po Polsce nawet list, nawołujący do wspólnego wystąpienia. Niestety, treści listu nie znam, nie udało mi się go zdobyć. Brać felczerska rozpowszechnia go w ścisłej tajemnicy, wylacznie w swoim środowisku zawodowym.

W pozwie skierowanym do sądu obaj felczerzy ze Strzelce Opolskich wskazują na to, że profesja ich została ośmieszona i skompromitowana, żądają odszkodowania za straty moralne po 500 tys. złotych na osobę, by móc się przekwalifikować, gdyż nie widzą w tej sytuacji możliwości dalszej pracy w dotychczasowym zawodzie. Na świadków swej życiowej kłeski powołują wszystkich przytomnych telewizorów. Pieniacze? Skandaliz-

ści? Cwaniacy? Nie, nie z tych rzeczy.

Spotkałem się z bohaterami dnia przed bramą więzienia w Strzelcach Opolskich, gdzie obaj pracują. Do środka nie mogłem wejść, gdyż okazuje się, że równie trudno jest się tam dostać, jak i stamtąd wydostać. Przeżyję i to. Znaleźliśmy sobie miejsce na pogawędkę w pogotowiu ratunkowym. Pogotowie i więzienie to instytucje, które jeszcze, jako tako, tolerują u siebie felczerów. Otwarte lecznictwo chętnie ich zatrudnia, ale tylko doraźnie, na zastępstwach w czasie urlopów lekarzy. Z odpowiedzialnych stanowisk w służbie zdrowia felczerzy są wycofywani i spychani na margines. Zresztą ostatnio i z pogotowia ratunkowego są rugowani. W niektórych województwach ogranicza się ich uprawnienia zawodowe, zmniejsza się asortyment leków, dopuszczonych do ordynowania przez felczerów. Jeśli chodzi o pacjentów, to felczerzy mają prawo udzielać im tylko 3-dniowych zwolnień z pracy. Jest to wszystko niezgodne z odpowiednimi aktami prawnymi, w sumie powoduje w środowisku felczerskim poczucie zagrożenia i krzywdy, rozczarowanie, gorycz i niezadowolenie. I próbę oporu, przeciwdziałania. Właśnie ów proces przeciwko telewizji należy traktować jako formę walki o rangę zawodu felczera. Wzięli to na siebie dwaj felczerzy ze Strzelce Opolskich. Odważni młodzi ludzie zdecydowali się na ten krok, powodowani racjami wyższego rzędu.

Przecież nie chodziło nam o pieniądze — oświadczyli w rozmowie ze mną — o wygranie pół miliona i w ogóle o wygranie procesu. Chcieliśmy zwrócić w ten sposób uwagę społeczeństwa na naszą sytuację zawodową. Jesteśmy grupą stosunkowo małą, bo licząc zaledwie pięć tysięcy ludzi i głos nasz niewiele znaczy. Związek Zawodowy Pracowników Służby Zdrowia niewiele mógł nam do tej pory pomóc. Zresztą o stosunku do nas świadczy fakt, że w najwyższych władzach tego związku nie ma ani jednego felczera. Tymczasem od kilku lat jesteśmy przez Ministerstwo zdrowia nie doceniani. Zastosowano wobec naszego zawodu znaną zasadę: Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Przed piętnastu laty, kiedy przystępowaliśmy do pracy, byliśmy dobrzy. A teraz, po wieloletniej praktyce, nie nadajemy się do niczego. Podobnie jest z innymi naszymi kolegami po fachu. Każdy ma już rodzinę, dom na utrzymanie i odpowiedni zasób doświadczenia oraz przywiązanie do zawodu, ale okazuje się, że to nic nie znaczy. Chętnie poszlibyśmy na studia medyczne, lecz kto utrzyma przez tyle lat rodzinę? W medycynie nie kształci się lekarzy zawodnie, tylko stacjonarnie. Co prawda kilkudziesięciu felczerów zdolało skończyć Akademię Medyczną, ale to są wyjątki. Większość nie może sobie pozwolić na ten luksus. Widzimy natomiast możliwość podnoszenia kwalifikacji felczerów w inny sposób, na przykład poprzez roczne praktyki w szpitalach, lub też drogą odpowiednich kursów.

To bardzo przykre — znaleźć się pewnego dnia w sytuacji człowieka zbędnego.

Twórcy filmu „Dr Ewa” okazali się ludźmi kompletnie oderwanymi od życia, od realiów, ponieważ, gdyby wiedzieli, jaka jest naprawdę nasza sytuacja, chyba nie pozwoliliby sobie na drwiny z felczerów. Nasz pozew przeciwko nim do Sądu Najwyższego był krzykiem rozpaczliwym. Sąd Najwyższy przesłał sprawę do Sądu Wojewódzkiego dla m. Warszawy, a tam zażądano od nas 27.400 zł opłaty. Odwołaliśmy się od tej decyzji, lecz, niestety, utrzymano ją w mocy. Czy zamierzamy tę sumę wpłacić i proces kontynuować? Nie, my uważamy, że już ten proces wygraliśmy. Co mieliśmy robić, żeby zwrócić uwagę władz na to, że się źle nam dzieje? Może ministra zdrowia wprowadzić i trzymać jako zakładnika? Wybraliśmy drogę skandalu. W jakimś sposobie jesteśmy „Dr Ewie” za to „wdzięczni”, że dostarczyła nam pretekstu.

Zwróciliśmy się także z pismem do Zarządu Głównego ZZPSZ, ażeby nam przyszedł z pomocą. Tu nie chodzi o dwóch ekstrawaganckich felczerów, lecz o interes całego środowiska. Swego czasu Zarząd Główny ZZPSZ umożliwił niektórym felczerom ukończenie studiów administracyjnych. Chodziło o to, by służbie zdrowia dostarczyć dobrą kadrę pracowników administracyjnych, a tymczasem właśnie w służbie zdrowia najtrudniej było im otrzymać pracę. Felczerzy nie mogą zajmować kierowniczych stanowisk, nie mają do tej pory wyodrębnionej siatki plac. I jest jeszcze sporo „ale”... Przecież mamy odpowiednie dyplomy ukończenia liceów felczerskich, które zostały nam wydane na podstawie Sejmowej Ustawy o Zawodzie Felczera. I tylko Sejm jest w stanie nam je cofnąć, a więc wszystkie ograniczenia, jakie spotykają nasz zawód, dzieją się bezprawnie. Dlatego też po cichu, bez większego hałasu, sukcesywnie eliminuje się nas z lecznictwa otwartego. Taka jest prawda. Nasze koleżanki zatrudniane są z reguły jako pielęgniarki, mężczyźni mogą pracować tylko jako laboranci lub sanitariusze. Jeszcze gdzieś, na głębokiej wsi felczer może otrzymać pracę w ośrodku zdrowia, ale w większym mieście zdarza się to bardzo rzadko.

Rozumiemy, że lekarzy przybywa, a medycyna czyni postępy — trudno nam się jednak pogodzić z tym, że felczerów traktuje się jak znachorów.

Wątpimy, czy pan o tym wszystkim napisze, gdyż już byli u nas redaktorzy z różnych gazet, ale, jak dotąd, nic się na nasz temat nie ukazało.



ANDRZEJ GRUN

Te małe bezbronne miasteczka

Ziemia ta, onegdaj puszczą porosa gęsta, zwierza pełną i ptactwa wszelkiego, nigdy nie była ziemią pokoju. Od wieków służyła za arenę krwawych rozpraw. Najpierw wybito lu-

dzi, potem przetrzebiono zwierzęcą, a na koniec padły od topora i ognia lasy. Pozostały jeno, jak dawniej, jeziora — skrawki nieba rozrzucone wśród wzgórz. Pierwsze karty historii tej ziemi zapisały

krwawymi literami krzyżackie miecze — zwała się wtedy jeszcze Bartia, a lud ją zamieszkujący mówił językiem Prus. Gęstwę borów porzeczynały wyrabane trakty, którymi ciągnęły kohorty krzyżackich jurgielników od zamków warownych pobudowanych na wzgórzach w głąb kraju i ku Litwie, a także grupy osadników ze Śląska i Mazowsza, bo gleba chętna była ziarnu, a wspaniałomyślny komtur Eberhard hojnie przywileje rozdzielał. Tym hojniej, że lud tubylczy jakoś dziwnie szybko pod „chrześcijańskim” rządami białych płaszczy na tamten świat się wynosił i tak w pierwszej połowie XV wieku urząd poenitenciarli linguae Prussiae — spowiednika dla mówiących językiem Prusów — był często formalny, jako że nie było już żadnego czelaka przy życiu mówią pruską władającego.

Wokół warowni i zamku kupiły się chałupy chłopskie i domy mieszczan, powstawały osady, miasteczka, miasta. Stosunkowo wczesnie porzucano w budownictwie drze-

wo na rzecz cegły. Gotyck określili na całe wieki typ pejzażu — wśród zieleni soczystej czerwone mury, przysadziste wieże. Nawet wspaniałomyślny barok niewiele wniósł zmian. Pobudowano kilka kościołów, kilka pałaców, odbijających białym tynkiem. Czerwień, zieleń i przygaszony błękit były barwami tej ziemi. Cegła, drzewa i woda — krew, drzewa i niebo. Po Krzyżakach byli Szwedzi, po Szwedach wojska pruskie, po Prusakach wileze gniazdo w Bierłoży. Natura była tu hojna, historia mniej łaskawa.

Kraina Warmii i Mazur, Serpentyne dróg asfaltowych ocienione szpalerami drzew, pomykają od wsi do wsi, idą się od miasteczka do miasteczka. Nigdzie strzechy krytej słomą, nigdzie modrzewiowego kościółka... Murowane wszystko, solidne. Nawet wiatrak z cegły upodobniły się do wież ogromnych. A jednak ta solidność i trwałość jest pozorem. Mury kruszeją, drewniane konstrukcje zżera robak czasu, fundamenty zapadają się głębiej i głębiej,

rysując ściany krechami pęknięć... Autobus z Olsztyna wyrzucił mnie na reszelskim rynku.

Miasteczko tyleż małe, co malownicze, zebrane ciasno wokół zamku i kościoła. Założone w 1337 roku na miejscu dawnej osady przyrodowej przez mieszczan Braniewskich, przez stulecia pędziło typowy żywot pogranicznej miejsciny. Do dziś zachowało średniowieczny plan urbanistyczny, z zabudową przeważnie XIX-wieczną, skutkiem pożaru w 1806 roku. Uliczki pną się w górę, zbiegają w dół, zakosami wychodzą z zaułków, a wszystkie prowadzą do rynku, na którym zegar z porcelanowym cyferblatem na wieży okrutnie bezstylowego ratusza odmierza swój czas. Nieśpieszny czas małych miasteczek. Gotycki zamek, gotycki most ceglany na Sejnie wiek XIV pamiętający, spichrz, kościół św. Jana Chrzciciela, resztki kolegium jezuickiego, budynki fary, a w jarze głębokim dziłki parów — to z tzw. zabytków wszystko. Miasteczko ładne i biedne. Tej biedy nie

da się przykryć skwerkami i klombami kwiatów, szpalerami przyciętych drzew, złotym piaskiem wysypanym na parkowych alejkach. Nie przestani jej restauracja w „stylu nowoczesnym” — lustra, czarne szyby, kinkiety, telewizor przyśrubowany do ściany, stoliki bez obrusów. Za restauracją stare spichrze wala się z obsuwającej się skarpy. Za rok, dwa nie będzie po nich śladu. Chodząc uliczkami natykam się, co rusz, na wyrwy w zabudowie, jak na dziury po wyrwanych zabach — to miejsca po domach, którym nikt nie pomógł przetrwać. Reszel, szczęśliwie się złożyło, nie ucierpiał w czasie wojny. Szczęśliwie się złożyło! — coś z tego — po wojnie za to ucierpiał od ludzi. Rozbierali domy na cegły do centralnej Polski, na drzewo na opał, dlatego wrzeszczę, że stały bez gospodarza. Wyrwany ząb czasu łatwo zastąpić nowym. Na miejscu zburzonego domu postawić nowy dom trudniej, tym bardziej, jeśli rzecz się dzieje w małym miasteczku, tym bardziej, jeśli dom był stary...

Za chwilę tomburmajor uniesie swoją łaskę. Werble już warczą. Mimo woli czekam na wielkie „bum” kotłów i przenikliwy dźwięk piszczałek. Rytm, rytm. Ludzie stoja jak urzeczeni, czekając na coś co ma się dopiero odbyć. Rytm, rytm, rytm. Skąd ja to znam, gdzie slyszalem, przeżyłem, widziałem? Wśród tych ludzi jestem pierwszy raz... Wtedy: parademarsz szedł ulicami Łodzi, nie — ulicami Litzmanstadt, odziany w feldgrau, brunatność i czern.

Otrząsam się od tej zjawy. To tylko barwna fiesta z wielkim graniem w trabki i bębny, rozpoczynająca sobotnia wyprzedaż wszelkiego rodzaju fatalaszków dla których zabrakło już miejsca nawet w najtańszych domach towarowych Hamburga. Wieczorem wrócę do hotelu, portier w poradnym cylindku powita mnie grzecznym: — Dobry wieczór szanownemu panu, czy nie trzeba czegoś? a ja będę znowu szukać odpowiedzi na trapiące moje pokolenie Polaków pytanie: jacy są ludzie, wśród których wypadło mi przez pewien czas żyć?

Ze ścian sali ratusza, obitych flamandzkimi oponami, jakby z pewnym zdziwieniem, spoglądały na małą grupkę polskich dziennikarzy oblicza twórców hanzeatyckiej potęgi Hamburga.

— Panowie, rozpoczął senator Kern, Hamburg to największe miasto w Bundesrepublik, żyjące ze swojego portu, ale ostatnio w naszej gospodarce coraz większą rolę zaczynają odgrywać inne dziedziny gospodarki — przemysł, usługi, jesteśmy największym ośrodkiem poligraficznym i wydawniczym w Bundesrepublik...

Pewne fakty, liczby z wczoraj i dziś Hamburga, miałem w pamięci jeszcze przed startem caravelli via Kopenhaga do Hamburga. Choćby i to, że przebiegli hamburczycy mieli ponoć wywieść w pole samego cesarza Barbarossę, który wprawdzie zafundował im coś w rodzaju strefy bezcłowej, ale daleki był od rozciągania tego edyktu po wieczyste czasy. Od czego są jednak juryści? No więc stało się, a przy okazji — choć znacznie później — nasi gospodarze, nazwijmy to tak, zaniektowali 100 km odcinek Łaby, który formalnie powinien należeć do Federacji.

Ale to było dawno: w roku 1189.

Jest czerwiec 1971 roku i w moim paszporcie PRL figuruje wiza wydana w Bonn. Toczy się rozmowa:

Senator Kern: — Jesteśmy zainteresowani w rozwoju stosunków ze wszystkimi krajami. Wyrażam tutaj pogląd Senatu Hamburga. Dlatego z uznaniem patrzymy na każde poczynania, prowadzące do politycznej i gospodarczej normalizacji stosunków...

My: — Ale co w tym kierunku sami czynicie, jakie

kroki podejmuje Senat Hamburga w Bundesracie, w sferach mających wpływ na politykę, np. w tak istotnej sprawie jak ratyfikacja układu między Polska a Bundesrepublika?

Senator Kern: — Nie możemy od razu wymagać zbyt wiele. Pewien etap — w moim przekonaniu — mamy już za sobą. A teraz — handlujemy, robmy interesy. Czas pokaże co będzie dalej!

Wiem, że senator Helmut Kern, członek SPD, która rządzi w Hamburgu, zna do-

Antwerpii. Robmy interesy! Ba! Ale czy tylko chodzi o robienie interesów? Senator Kern, dr Mönkemeyer — nie mam co do tego wątpliwości — wiedzą dobrze, tak samo jak i ja, że nie tylko, a właściwie — że przede wszystkim nie o to chodzi. Gra idzie o coś znacznie większego. Polityka spleta się z gospodarką. A to co ma przynieść czas, zależy od ludzi.

Gdzieś w środku miasta rozsiadł się aluminiowo-szkłany kolos centrum prasowego koncernu Axela Springera. Podobno w archiwum tej fabryki drukowanego słowa każda osobistość, każdy dziennikarz, który choć jedno słowo napisał o Bundesrepublikę bądź o sprawach interesują-

gaza wydawana przez SPD i, jak na tutejsze stosunki, obiektywnie informująca o tym co się dzieje po drugiej stronie Łaby, u nas i w innych krajach socjalistycznych. W dniu, kiedy podjęto oficjalne negocjacje między rządami PRL i Bundesrepublik, na swojej czolówce „Bild Zeitung” zamieściła taką „ważną” wiadomość: „Zona zdradziła tajemnicę sypialni. Rozwód!!!” Informacja o rozmowach między Polską a Bundesrepubliką została wciśnięta gdzieś „między wierszami”, skwitowana niemal jednym zdaniem. Axel Springer tego tematu bardzo nie lubi.

Z ciemności wieczoru wyluskują się litery świetlnej gazety:

▲ DZIS DOLAR — JUZ TYLKO 347 DM ▲ W ST. PAULI ZNOWU TRZY TRUPY I SKŁAD MARIHUANY ▲ ROSJANIE WYSTRZELILI „SALUT” ▲ BILD ZEITUNG TWOJA GAZETA ▲...

Wczoraj jakiś typek doskoczył do mnie na Reeperbahn i proponował mi kupno papierosów z marihuana. Nasi gospodarze, z pewnym wahaniem, zaprowadzili nas do jednego z tych lokali. Na małej scenie, podobno gościnnie, w rytm ogłuszającej muzyki młotała się, tyle samo potężnej postury co golusienka Jugosłowianka. Potem — klasyczny donos dla lokali straszących numer z telefonem.

Ten cały porno-przemysł spod firmy madame Beaty Uhe ma bardzo określoną klientelę. Robi się porno-filmy przeznaczone dla... rolników, znajdzie coś „dla siebie” tzw. Gastarbeiter, czyli najemny robotnik który w poszukiwaniu zarobku przyjechał tutaj z Turcji, Jugosławii, Portugalii lub Włoch. W Hamburgu jest ich podobno 60 tysięcy. „Twen” — periodyk porno, przeznaczony dla „intelektualistów”, podobno plałtuje...

Na murach kamienic, słupach ogłoszeniowych wielkie plachty plakatów: BARZEL KOMMT! I data. To będzie jutro. Tu i ówdzie czują się dowcipna ręka, niekiedy szminka do warg, do tego wezwania BARZEL PRZYCHODZI dopisała: ALE CZY DO ROZUMU? Zagorzały przeciwnik „Ostpolitik” kanclerza Brandta ma też swoich sztyderców. Ale czy to jest odpowiedź?

Jak zawsze hotelowy portier uprzejmie mi się uklonił, zapyta czy czegoś nie potrzebuje.

W książce, która tutaj do Hamburga przywożem ze sobą *) jest szereg pytań i odpowiedzi ustalonych na podstawie badań przeprowadzonych przez różne zachodniemieckie „Gallupy”.

Pytanie: „Czy powinniśmy,

pańskim zdaniem, pogodzić się z obecną granicą niemiecko-polską”, czy też nie?

Odpowiedź: w roku 1966 — „Tak” było 27 proc... W cztery lata później 57 proc.

Pytanie: „Czy sędzi pan(i), że Pomorze, Śląsk i kańców Prus Wschodnich i Prusy Wschodnie będą kiedyś jeszcze należały do Niemiec, czy też są już bezpowrotnie stracone?”

Odpowiedź: w roku 1966 — „Będą należały” 20 proc.; w roku 1970 — 11 proc. Niezdecydowanych było w tych samych latach odpowiednio — 56 i 72 procent.

Jakie wnioski ma wyciągnąć z tego Polak żyjący na krótko wśród tych ludzi? Ciągłe brakuje mi odpowiedzi.

Wczoraj widziałem kohortę, wprawdzie liczebnie dość niepokojącą, ale nieporównanie głośniejszą, maszerującą ulicą. Białe skarpety, czarne spodnie, „koalicyjki” przez pier-

si. Bili w werble i kotły. Maszerowała młodzież „Ostpreussen”. Szli na swoje zebranie. Du ich przyszło? Również spośród tych „niezdecydowanych”? Ankiety utrzymują, że 59 proc. dawnych mieszkańców Prus Wschodnich i Śląska nie wróciłoby na tamte tereny. Politycy, nie tylko spod znaku CDU — CSU, wszak Herbert Hopka — szef „Ziomkostwa Ślązaków” zasiada w Bundestagu na ławach SPD — mówią nieco inaczej.

Kto robi politykę? Czy mamy robić tylko interesy i czekać co przyniesie czas?

Przed hotelem, gdzie mieszkam, też pojawił się napis: BARZEL KOMMT! Dopiśku brakowało. Komu biją werble w Bundesrepublik?

* Eugeniusz Guz: METAMORFOZY NIEMCA ZA ŁABĄ, KIW, 1971.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Komu biją werble?

brze współczesna Polska, a cych springerowskich speców choć daleki naszym pozycjom, jest życzliwy temu co kanclerz Brandt nazywa „nowa Ostpolitik”. Ale trudno, panie senatorze: Polaka nie bardzo satysfakcjonuje hasło ograniczające się do stwierdzenia — robmy interesy, czas pokaże!

Dyrektor portu — dr Moenkemeier obwoząc nas swoim jachtikiem po basenach hamburskiego portu mimowolnie dodał komentarz do słów, które padły w hanzeatyckim ratuszu: — Szczęśliwym portem, którego długość nabrzeży przekracza 65 km i może on jednocześnie pomieścić 350 statków. Rocznie, zawija do Hamburga ponad 20 tys. statków różnych bander, w tym oczywiście i te pod biało-czerwoną...

Widzieliśmy jeden z nich — M/S „Swinoujście”. Przyjemnie, jakoś inaczej, brzmiało — Dzień dobry, rzucone z burty na pokład „kawalka” Polski.

Dyr. Mönkemeyer: — Miasto w dużym stopniu żyje z portu. Przeladujemy tutaj rocznie 40 mln ton rozmaitych towarów. „Zimna wojna”! To nas odcieło w znacznym stopniu od naturalnego zaplecza, od ładunków z NRD, Czechosłowacji, Węgier, no i z Polski! Zajmujemy już tylko czwarte miejsce w Europie — po Londynie, Rotterdamie i

tylko jedna „Morgen Post”,



Rewizjonistyczny plakat — drogowy

Na „przedmieściu” Reszla zbudowano kilka nowych bloków, obskurnych w swej obokajnej „nowoczesności” (bodać pięć pięter). Miasteczko, nad nim zamek, w dole park i te bloki... Nie jestem fantasta. Zycie ma swoje twarde prawa. Budżety centralne, wojewódzkie, powiatowe, miejskie, gminne mają swoje realne granice. Możliwości działania ludzi dobrej woli są ograniczone. Ale trudno wyzwoić się przecież od refleksji, wynikających z obserwacji. Tym bardziej, że jak wielu Polaków, uczulony jestem na nietrwałość, na niszczenie rzeczy materialnych. Uczono nas tego przez długie lata. Takich miasteczek jak Reszel — wiele. Co z nimi będzie? Jak wyglądać będą za kilka lat? Czy za pięć lat przyjedzie do Reszla jakaś wycieczka, choćby szkolna? A jeśli nawet przyjedzie, to po co?

Towarzystwo Społeczno-Kulturalne „Pojezierze” od lat obokuje się zamkiem reszelskim — gdyby nie ono, zamek już byłby ruina. A tak jest ośrodkiem kultury z wystawami, stałą galerią dzieł

olsztyńskich plastyków, domem pracy twórczej ze zbiorami regionalnej twórczości ludowej. Jest remontowany i będzie remontowany nadal. Ta siedziba biskupów warmińskich i burgrabów, myśliwski zameczek kardynała Andrzeja Batoiego może o losy swoje być spokojny. Lecz widać zamek w otoczeniu bloków i domków jednorodzinnych wydaje się wizją z koszmarnego snu... Bo na uratowanie spichrzy, na remonty generalne kamieniczek stylowych i bezystylowych, a tworzących pejzaż miasta, stanowiących o jego urodzie i charakterze, pieniędzy nie znajduje nikt. Ani wojewódzki konserwator bo on ma na głowie Frombork, Giżycko, Olsztyn, Lidzbarsk, ani władze miasta, ani — choć gdyby miało, to by dało — Towarzystwo Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”. A więc? A więc w piach. W Reszlu jest kilka szkół zawodowych i Zakłady Przemysłu Maszynowego Leśnictwa. Teren nie uprzemysłowiony. Krajobraz piękny. Miasteczko jak Reszel w kolo pełno.

Od lat trwa dyskusja o turystyce. O formach, o sposobach. Wiem, że turystyka dla wielu krajów i regionów jest workiem z forsą. Na Zachodzie (nie tylko) krajobraz, zabytek, to towar w systemie handlowym. Wiem ponadto, że wiele dóbr kultury i sztuki przetrwało i przetrwa dzięki turystyce. Człowiek współczesny odczuwa coraz silniejszą atawistyczną potrzebę wędrowki — jeździ na wycieczki turystyczne. Noma, dźi XX wieku jeżdżą i... plać. I za swoją forsę chcą mieć wrażenia, przeżycia, złudzenia. Przy postępującym procesie wyniszczania środowiska człowieka o złudzeniach tylko może być mowa. „Puszcza” ma dziewięć km kw., forteca stwarza złudzenie autentyczności, choć wnętrze jej przeryniają bebeczy rur centralnego ogrzewania. Ale dobre i to, bo jak mówi przysłowie „na bezbrybi i rak ryba”. Dlatego więc, grzecznie pytam, na szlakach turystycznych wśród zabytków wciąż buduje się na przykład „restauranty” w stylu nowoczesnym? Dlaczego nie oddaje się spichrzy, młynów, różnych takich w

prywatne agencje z klauzulą wyraźną w umowie, że użytkownik w zamian za mniejsze podatki opiekować się ma obiektem, który uznany jest za zabytek, ale de facto skazany jest na ruinę. Gastronomia uspołeczniona o dobra kultury dbać nie będzie, z trudem radzi sobie ze schabowym i bryzołem z pieczarkami. To nie żadne żarty. Właśnie w oddaniu pewnych usług turystycznych (restauracje regionalne, hotele, motele, winiarnie, piwiarnie, ciastkarnie itp. itd.) w ręce prywatne widzę szansę dla wielu zabytków klasy niższej. Nie nawołuję oczywiście do urzędzenia w zamku fromborskim knajpy z dąsaniem, ale nawołuję do urzędzenia na przykład w spichrzu reszelskim restauracji o charakterze regionalnym. Może zjadłbym wtedy obiad na obrusie, w miłym chłodzie, popijając piwem warmińskim, łocznym z wielkiej beki, jak to niegdyś bywało. A przy okazji spichrz by może ocalał... Zagłoba mawiał: kupa panowie, kupa. Przez różne formy działania czasem cel jeden osiągnąć można. Dowcipu jeno w działaniu i odwagi roztropnej

trzeba. I patrzenia nie na konic nosa, a dalej, dalej.

Na zamku reszelskim przez dziesięć lat „rezydowało” małżeństwo Hulanickich. Ona — autorka wielu gobelinów, tkanych sposobem mazurskim (tak zwane tkaniny podwójne, wielonicielnicowe), pieczętny regionu, która uratowała od zapomnienia wiele wzorów, ornamentów i haftów miejscowych. On — zapobiegliwy gospodarz, dbający o zamek jak o rodzone dziecię. Odeszli do Fromborka. Ale widać Reszel ma szczęście. Na zamku, gospodarzą Monika i Tomasz Czyżowie. Ona — plastyczka po szkole łódzkiej, parająca się tkaniną (zajmuje się równocześnie pracą społeczną na polu kultury i to często kosztem własnej twórczości). On — prawnik, a jak trzeba to stolarz, murarz, elektryk. Dbają o powierzony obiekt, dbają z serca. Dzięki im za to. Ale oni miasteczka nie uratują.

Czas płynie leniwie. Dom Kultury utrzymywany jest w stanie, w jakim jest, chyba po to, aby nacalnie świadczyć wobec zamku, że można robić

złą robotę, a można i dobra, świecić pustkami. W miejscowym kinie idzie film Lelouch'a, a w kasynie gry „pod chmurką”, w bliskim sąsiedztwie piaskownicy, rojącej jak ul psczeli głosami dziatwy, gra ferajna w „woza” za swoje, cudze i państwowe. Po parku biegają miejscowi „ludzie dobrej woli”, wysypujące alejki żółtym piaskiem. Skarpa, na której leży miasteczko, obsuwa się od strony plebanii i kościoła... Czas płynie leniwie.

To co napisałem o Reszlu, odniosłem do wszystkich innych miasteczek bez mecenasa. Odnieśliśmy do cerkiewek bieszczadzkich, do zbiorów arafijskich, do modrzewiowych dworców. Bo najwyższy czas rozejrzeć się w rezerwach środków i... pomysłów, aby je ocalić. Nie od zapomnienia, lecz od zniszczenia. Grozi im bowiem że jeno wspomnienie po nich zostanie. Odwołując się do pomysłowości nie mam, oczywiście, na myśli „rozszalanej wyobraźni”, która podsuwałaby projekty w rodzaju urzędzenia skansenu bieszczadzskich cerkiewek!



Rys. E. Inglot

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

PORTRET KRÓLOWEJ

Z twardych płyt chodnika zszedł na czarną parkową ziemię, wydeptaną, a przecie w porównaniu z brukiem miększą, jakby nawet uginającą się pod podszewkami, i znalazł się pod liściastym wiązaniem gałęzi, które zapachniały odświeżającą wonią ozonu. Szedł w cieniu, pod spletanym stropem gałęzi, patrząc na trawniki, błyszczące bilardową zielenią w blaskach jaskrawych światła rtęciowych latarni, i na kolorowe ławki połyskujące, jakby odlane z metalu, i na skwer z okrągłym basenem i fontanną z kamiennym Amorkiem, i na cztery posągi na cokółkach na rogach skweru: Niobe czyli pycha, Herkules z maczugą, Demeter i Apollo z lirą.

Kama w lekkiej sukience w duże kwiaty siedziała na ławce na skwerze jak aktorka filmowa na planie pod jupiterami. Widział wyraźnie naszyjnik, parę miedzianych blasków, wąskich jak płytki dzieciennych cymbałków. Obserwował ją z gniewną uwagą, pełen urazy do niej i do siebie, że uległ namowom i przyszedł na to spotkanie. Wyczekująca postawa Kamy drażniła go, czuł, że ogranicza ona jego swobodę, domyślał się, że Kama będzie się czegoś od niego domagała, że będzie go chciała do czegoś namówić, przymusić.

Idąc po linii kwadratu, zamykającego klombu, doszedł do gmachu szkoły, której szczytowa ściana stanowiła granicę parku od południa, skreślił w ciemne i jednopłaszczyznowe w mroku nocy jak teatralna dekoracja gąszcz ogrodny i szedł dalej wzdłuż ściany Pływalni stojącej frontem do klombu z fontanną.

Przyspieszył kroku w obawie, że może zostać dostrzeżony. Dopiero na czwartej linii kwadratu biegnącej pod gęstą osłoną drzew rosnących przed frontami czynszowych kamienic na północnej stronie parku zwołał kroku i doszedł powoli do punktu wyjścia swego pierwszego okrążenia.

Kama siedziała z założoną na nogę nogą. Myślał z niejasnym uczuciem gniewu o wyzywającym pięknie jej długich nóg obutych w modne białe pantofle na szpilkach, wspominał szelest nocy za oknem, szelest nocy, w której mu uległa, widział wielką jak młyńskie koło, czerwona tarczę wschodzącego słońca, pukiel jasnych włosów na poszewce koldry, widział wytrzeszczone z przerażenia oko ze żrenicą barwy miodu, uzmysłowił sobie ucieczkę Kamy z Pamiętnikiem, szansę, której go pozbawiła, i „Ona to nazywa miłością” uniósł się gniewem i cof-

nął się głębiej w mrok wieczoru, cawiejny i niezeczywanany, pojąc się uciec pokuse i wpaść w siata, które na niego zastawiła, Oniata, ambitna i wyuzdana, która bierze mężczyzn w niewolę. Ziorzeczeniami jak odżegnywaniem uroku bronił się przed czekającą na niego kobietą: Empuza, zariocny demon niewieści, który przesypan się z mężczyznanami wysysając z nich wszystkie siły i potem ucieka. Czy mógł jej ufać, skoro z właściwą kobiecie przewrotnością już raz go oszukała i zdradziła? Ziorzeczył jej pragnąc pognać w sobie wszystko, co się łączyło z Kama, zniweczyć rozkosz nocy szeszeszczącej za oknami, wydrzeć z serca i zetrzeć z pamięci jej obraz jak ściera się gumką szkic ołówkowy zaprojektowany na arkuszu papieru.

Stał w gęstym cieniu kasztanów czekając, żeby Kama obraziła się i odeszła. Nieufność jak traumatyczna obawa po doznanych urazach paraliżowała jego ruchy. Lecz jeżeli pozwolił Kamie odejść, stracił szansę, jaką mogła być ta ostatnia minimalna możliwość odzyskania Pamiętnika.

Starał się przez chwilę o tym nie myśleć i skoncentrował uwagę na liściach drzew, których konary wznosiły się nad nim jak druty rozpiętego nad głową parasola. Każdy liść miał inny, chociaż nieco podobny krój i każdy trząsał się i drgał inaczej. W szesnastu kierunkach róży wiatrów, każdy też zwisał inaczej ze swej łodyżki, inaczej, na tysiąc sposobów, jak zmarnowane ludzkie życie.

Zszedł ze swego punktu obserwacyjnego i ruszył w kierunku Kamy.

Nareszcie — powiedziała ze zniecierpliwieniem. — Już myślałam, że nie przyjdiesz. Usiadł przy niej na ławce, milczący i gniewny. Położyła mu dłoń na ręce. Zapytał szorstko, bez wstępu: Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego wyjechałaś nie uprzedzwszy mnie? Ta twoja przyjaciółka Celina czy Cecylia wyśmiała mnie. Ona twierdzi, że nie mają i nigdy nie mieli w Archiwum żadnego pamiętnika Opolczyka. Moja praca doktorska jest pod znakiem zapytania. I skompromitowałaś mnie. Profesor będzie mnie uważał za mitografa, gorzej — za bliźniaka.

Scisnęła mu rękę. — Nie gniewaj się na mnie. Wiesz dobrze, że chcę twojego dobra — mówiła z czułością, nieco chropawym głosem pozbawionym melodyjności.

Cheesz mego dobra? Ale nie pomyślałaś o tym, na co mnie narażasz. Zaczepiłaś tehu i zadała pytanie brzmiące jak rozkaz: Z jakiej biblioteki wypożyczyłaś ten Pamiętnik?

Wiatr poruszył gałęziami, które zatrzepotały jak przelatujące ptaki i ucichły. Słychać było znów szum fontanny i plusk wody, która tryskała z ust Amorka do kamiennych muszli.

Dlaczego twoja przyjaciółka, ta Celina czy Cecylia, kłamie w żywe oczy, że w Archiwum nie było i nie ma pamiętnika Opolczyka?

Milczała. Dlaczego nie odpowiadasz? Ktoś przechodził koło ławki. Czyjeś powolne kroki chrzęściły na żwirze. Uściśnęła mu rękę. Mów ciszej.

Dobrze. Ciszej. Więc dlaczego? Czy ten sklerotyczny dziadka, ten Archiwariusz, przeklęty starzec zabronił twojej Celinie czy Cecylii ujawnienia tajemnicy? Czy nie chcesz narażać przyjaciółki na odpowiedzialność za samowolne wypożyczenie Pamiętnika? Albo może sądzisz, że Opolczyk bezczęścił pamięć Jadwigi? Może i ty wierzysz w jej świętość, która przesłania ci wszystko inne, co było wzniosłe i godne podziwu w tej wielkiej królowej?

Wydało mu się, że dostrzegł w ciemności potakujący ruch głowy. Ale zrozumie! Zrozum, tłumaczyl. Wielkość Jadwigi polega na czym innym!

O, Boże, westchnęła, czyż był aż taki naiwny? Napisz wszystko co chcesz, o swojej Jadwidze, zwiariowany głupcze, mówiła z gniewną czułością, ale nie poruszaj tego, że została uwiedziona przez Wilhelma. Nie masz na to dowodów.

Mam! odparł gwałtownie. Dziejopis austriacki Eberdorfer pisze, że gdy Wilhelm zakradł się na Wawel, groziła mu śmierć od panów krakowskich. Uratowała go sama Jadwiga, bez pomocy dwórek, spuszczała go nocą na sznurze w koszu przez okno swojej sypialni.

Ależ ten twój Eberdorfer to Niemiec, który z zemsty za odraćcenie Wilhelma powypisywał kłamstwa, żeby znieślić Jadwigę.

Jest jeszcze Pamiętnik Opolczyka! przypomniał surowo.

Usłyszał brzęk blaszek naszyjnika, który Kama obracała w palcach. Spotkaliśmy się, żeby pomówić o czym innym.

Odpowiedział, że i na tamto przyjdzie kolej. Teraz było dla niego ważniejsze, żeby powiedział, kto jej nakazał milczenie w sprawie Pamiętnika. Może Ty-

szler, jej najnowszy amant? Powinna sobie robić węzełki na taśmce, żeby pamiętać liczbę swych wielbicieli, doradzał ironicznie. Bo czasem zdawało mu się, że on, Tyszier i inni byli dla niej jak kochankowie Wielkiej Bogini z czasów matriarchatu, którzy ginęli periodycznie, co roku, śmiercią rytualną, przesywani włócznią zakończoną grotem ryby, ścinani toporem, kluci w pięcie zatruta strzałą, zrzucani ze skały lub rozszarpywani przez oszalałe służebnice Królowej-Bogini.

Nie śmieję się! zgniał ją surowo. Mówił, że jego obraz królowej w niczym nie uwłaczał jej religijności; była to religijność prawdziwa, nie — dewocyjna. Ale czy ten nowy obraz, zapytywał, nie jest piękniejszy i bliższy dzisiejszym czasom? I dlaczego ulegać autorytetowi świętości nie uznanej przez Kościół? Czy raczej nie powinno się czerpać siły z autorytetu, który może być wzorem wolności i odwagi?

Park powoli opustoszał. W nocnym powietrzu silnie zapachniały liście.

Zrozumie mnie — chciał powiedzieć: „idiotko”, lecz zawahał się i powtórzył: Zrozum, że najgłębszym upadkiem człowieka jest odwrócenie się od samego siebie i uleganie siłom, które go biorą w niewolę. Są to siły nierzeczywiste, wymyślone przez nas samych.

Objęła mnie i przytuliła policzek do mej twarzy. Nie gniewaj się. Przysięgam, że cię kocham.

I dlatego zatruwasz mi życie? Chwyciła mnie za ramię. Czy myślisz, że ja nie cierpię? Ale tłumaczę sobie, skarżyła się szepcąc, że nie ma miłości bez cierpienia.

Czy po to się ze mną umówiłaś, żeby mi prawić takie brednie?

Brednie? Oburzyła się. Czytałam niedawno pamiętnik zakonniczki średniowiecznej, która pisała do człowieka, co ją uwiódł: „Dziękuję z głębi serca za beznadziejność, w którą mnie wtrociliście i pogardzam spokojem, w którym żyłam, zanim was poznałam”.

Gdzie to czytałaś? zapytał podejrzliwie. Pewnie w tym Pamiętniku?

To była portugalska zakonnica. Absurd! Czy myślisz, że ja bym nie chciała, żeby twoja praca była odkrywcza?

Chciałabyś? Więc dlaczego? To nie zależy ode mnie.

Powiedz, gdzie jest przechowywany Pamiętnik? Nie rozumiem o czym mówisz.

Nie udawaj. Wiesz, że mówię o Pamiętniku, który mi przyniosłaś wieczorem, i z którym uciekałaś o świcie.

Nie odejmując policzka od mej twarzy, powiedziała łagodnie: Kochany, nie bądź szalony. To, czego pragniesz, nie da się urzeczywistnić.

Nie pomyślałaś o tym, przynosząc mi Pamiętnik.

Nie rozumiem, o czym mówisz. Zapytuję cię o Pamiętnik, który mi przyniosłaś. Czy nie rozumiesz po polsku?

Kochany, chyba ci się coś przyśniło?

Wiatr poruszył gałęziami drzew. Przemieszane plamy światła i cieni wirowały na żwirze przed ławką.

Odsunął się od Kamy, ośmieszony i wątpliwy, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Kama przysunęła się szepcąc mu do ucha: Nienawidzisz mitów?

Nie podobnego. Skąd ci to przyszło do głowy?

Ależ, tak! upierała się. Opo-wiadałaś przecie, że matka prawie siłą prowadziła cię, jeszcze jako uczniaka, na majowe nabożeństwa, nieszpory i nowenny. Nie nadążałaś z odrabianiem lekcji i obrywałaś dwoje.

Zawsze drażniło go w niej coś wyzywającego, co było sprzeczne z jej naturą, co było maską, pod którą krył się zwykły lub może niezwykły sentymentalizm, lub może nawet głęboka uczuciowość, która dochodziła w niej do głosu, gdy Kama wyzwała się z afektacji i popisywała się swą inteligencją.

Widocznie źle mnie rozumiałaś. Przeciwnie, pamiętam, że chętnie chodziłem na majowe nabożeństwa, które mnie pociągały swą nastrojowością i poezją.

Chodziłeś na majowe nabożeństwa, ale płaciłeś za to dwójmiał Kama się uwzięła, żeby go drażnić. Chyba sobie tego nie wymyśliłam? Przypominam sobie nawet, kiedy mi o tym mówiłeś. Było to wtenczas, kiedy nazwałam cię spóźnionym walterianinem. A ty chcesz, żebym uwierzyła, że za młodu byłeś bigotem, i dopiero później zrobiłeś się bezbożnikiem. Jesteś opętany tym, czego się wyrzekłeś.

Mówisz głupstwa! Nie go bardziej nie denerwowało, niż Kamy argumentacja połączona z popisami inteligencji, w których więcej było przesady i chęci imponowania mu, niż prawdy.

Ależ, naturalnie, że tak! dowodziła z nieznośną agresywnością. Nie zaprzeczaj. Jesteś dalszym ciągiem twej matki i powtarzasz jej duchową ontogenezę, tylko że w odwrotnym kierunku.

„Duchowa ontogeneza”? Jesteś erotomanką, która się zgrywa na intelektualistkę. A w ogóle, zabraniam ci mówić w ten sposób o mojej matce.

Nie mówię nic złego. Twoja matka spędziła pół życia w kościele, a ty wypowiedziałeś walkę mitom! wpatrywała się w niego rozszerzonymi z ciekawości oczami.

Nie „wmawiają tego we mnie! odparł z wściekłością i wstał.

Ależ, co ty? przestraszyła się. Zaczekaj! Kiedy się zobaczymy? Zatrzymał się. Zapytuję cię raz jeszcze: Czy potwierdzisz wobec Profesora, że w Archiwum ukrywają przed pracownikami naukowymi i przed opinią publiczną pamiętnik Opolczyka?

Ależ, co ty? Powołam cię przed Profesora na świadka. Urwał w połowie zdania na widok jej zdumienia. Nie chciał, żeby pomyślała, że chce ją szantażować.

Co też ci przychodzi do głowy? Mówiłam tylko, że ktoś podobno odnalazł taki pamiętnik. Kochany, zapomniałeś. Usnąłeś na moim ramieniu.

Po raz ostatni zapytuję cię, akcentowałam słowa niskim tonem groźby. Czy potwierdzasz, że...

Doprawdy, coś sobie wymagino-wałeś. Zrozum, to są tylko twoje urojenia. Widzisz ich spełnienie we mnie i myślisz, że ja ci wyczaruję ten Pamiętnik. Słuchaj, Kochany, nie bądź szalony.

Przez szum wiatru, szelest liści i pachnącą ciemność, słyszał rozlatujący się głos idącej za nim Kamy.

JAN SZTAUDYNGER

FRASZKI OSTATNIE

Zielone Łąki

Nieśpieszno mi na tamtą stronę,
Tu łąki takie zielone...

Awersja

Awersję do grobu mam
Bo nie lubię leżeć sam.

* * *

Nie umrę wszystek,
Zostanie po mnie — figowy listek.

Zamówienie

A kiedy przyjdzie do mnie ta z kosą
Niech będzie ładna, młoda, bosa,
Abym nie słyszał zawczasu
Stukania jej obcasów.

Triumfatorzy

Pogrzebali wreszcie ciało
Z duchem wcześniej się udalo.

* Fragment powieści pt. „Portret królowej”, która już w najbliższych dniach ukaże się nakładem Sp. Wyd. Czytelnik.

NA KRAWĘDZI EUROPY

Stanisław Schmitzek, wysoki urzędnik przedwojennego MSZ, napisał pamiętnik — oparty na zachowanych notatkach — z lat 1939—1946. Myślę, że książka ta zrobi karierę, bowiem z powodzi wspomnieniowej literatury wojennej wyróżnia się rzetelnością i mnogością informacji. Nie są to bo-

wiem luźne refleksje, snute po latach, ale zapis oparty na dokumentacji autora prowadzonej przez cały czas jego bogatego w wydarzenia wojennego życia.

Stanisław Schmitzek pracował w latach wojny jako delegat emigracyjnego rządu w Portugalii, organizując pomoc dla Polaków. Była to pomoc dwojaka. W pierwszej fazie wojny polegała na ekspedowaniu Polaków do Anglii, w drugiej fazie na czoło wysunęła się akcja pomocy dla kraju. Bilans tej działalności był imponujący. Przerzucono z Lizbony w dalszą wędrówkę wiele tysięcy polskich uchodźców, do kraju natomiast wysłano 800 tysięcy paczek. Żyją przecież w Polsce ludzie, którzy w okupacyjną noc otrzymywali — nie wiedzieć skąd — paczki z adresem nadawcy — „Maria Holga, Lisboa Central, Caixa Postal 512”.

Za fikcyjną Marią kryła się Delegatura, która adresy nie znanych ludzi w kraju otrzymywała od placówek Czerwonego Krzyża.

Ale jest także w blisko 800-stronicowej książce Schmitzka obraz intryg emigracyjnych polityków i prominentów rozgrywek personalnych walk o władzę — mimo tragedii narodu, mimo wojny — będących nieraz treścią życia niektórych emigrantów. Są w tej książce postacie piękne i postacie nikczemne — autor nie zacierza obrazu emigracji, ani go nie reżuluje. Pisze o tym, jak było. Jest to pozycja niezwykle cenna w swej bezstronności i rzetelności.

J. W.

Stanisław Schmitzek
„Na krawędzi Europy”,
PWN — 1971.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

O kunszcie fraszkopisarskim

Fraszka jako gatunek literacki niezmiennie od czasów Jana z Czarnolasu cieszy się w Polsce czytelną popularnością, mimo że została należycie uszanowana przez historyków literatury tylko w odniesieniu do epoki renesansu. Wszakże zasadniczy charakter fraszki, polegający na lapidarności i trafności w ujmowaniu rzeczy, zjawisk, obyczajów na pozór przemijających, nie zmienił się w ciągu czterech ostatnich stuleci, to jednak fraszce czasów poodrodzeniowych przypisuje się na ogół znaczenie wyłącznie historyczno-dokumentarne, odzierając ją przy tym z szat artystycznych. Czy więc niezależnie od wspomnianych jej funkcji może być ona utworem autotelicznym?

Dowodem na to, że fraszka nie ustępuje pod względem wartości artystycznych innym gatunkom lirycznym, jest zbiór epigramatów i aforyzmów Tadeusza Giegiera, „Szkiełko i oko”. Wprawdzie to dopiero druga książka satyryczna Giegiera, ale autora jej nie trzeba specjalnie przedstawiać czytelnikowi, który spotyka się z nim bardzo często na łamach czasopism literackich i satyrycznych. Krag tematyczny nowego zbioru jest szeroki, o wiele szerszy, aniżeli tomików najpopularniejszego fraszkopisarza, J. Sztudyngera, który w przeważnej mierze ograniczał się do tematyki erotycznej. Giegier, jakkolwiek nie stroni i od tego tematu, sięga raz że głębiej, a po drugie — satyryczna wizja społeczeństwa i jego obyczajów nie ma wycinkowego charakteru, choć łączy się on definicją gatunku, jakim jest fraszka, a wręcz cechuje się ujęciem panoramicznym. Fraszka polityczna sąsiaduje tu z obyczajową, autoteliczna z erotyczną itd. Giegier nie lioży na tanią popularność, chociaż uprawia ów „tani” gatunek. Fraszki jego są często polickim wymierzonym smakowi publicznemu. Jest więc to ironia obrócona

w zasadniczej mierze przeciw obyczajowości społeczeństwa, zwłaszcza polskiego. Twórczość satyryczna Giegiera wykazuje silne związki z fraszkopisarstwem staropolskim. Dobitym tego wyrazem jest aktualność starych wad narodowych dana w tych fraszkach w innej tylko formie i warstwie językowej nam współczesnej.

Co jest tworzywem giegierowskiej fraszki? Obok dowcipu wynikającego z samej treści istnieje dowcip językowy, który jest w zasadzie kośćcem tych utworów, np. we fraszce „O pewnych poetach”:

W wieży z kości słoniowej
siedzieli
i dziwili się, że tak
skostnieli.

Dochodzą tu jeszcze aliteracje, które nie stanowią celu samego w sobie lub też środka będącego celem, ale z układu aliteracji wynika treść anegdotalna. Rzecz to raczej nie spotykana we współczesnej polskiej fraszce, a przy tym i nie dostrzegana przez krytyków. Również do źródeł inspirujących narodziny owych epigramatycznych zapisów należy zaliczyć tropienie etymologii poszczególnych wyrazów. Oczywiście w wydaniu Giegiera jest to etymologia przewrotna, odbita w krzywym zwierciadle satyry. Mówiąc o kunszcie fraszkopisarskim autora „Szkiełko i oka” zaznaczyć trzeba, że nie spotykamy się w jego fraszkach z monotonią w sferze stylistyczno-językowej, która przystosowana jest do tematu fraszki, jest jego funkcją. I dlatego obok asonansów we fraszkach o charakterze bardziej lirycznym, występują rymy pełne i nawet gramatyczne we fraszkach obliczonych na żywą, bezpośrednią reakcję czytelnika. Widać stąd, że fraszkopisarstwo Giegiera przyświecają ambitne cele, z którymi realizacja idzie w nierozłącznej parze. Dobra fraszka to nie tylko

ta, co jedynie bawi, śmieszy, ale i zarazem niepokoi, porusza najczulsze strony ludzkiej psychiki, nie pozwala na bycie w marazmie i blogostanie. I temu zadaniu również sprostał Giegier kierując ostrze swej krytyki przeciw ujemnym skutkom stabilizacji materialnej, która jego zdaniem wywołuje w człowieku chęć wyłącznego posiadania, zamiast twórczego podchodzenia do rzeczywistości. Fraszek powierdzających tę tezę można przytaczać wiele, a szczególnie aforyzmów, w których poeta osiągnął lekkość iście francuska, wywodzącą się ze szkoły Le Bruyere’a. Aforystyka Giegiera jest kontynuacją najlepszych tradycji tego „niepełnoprawnego” gatunku literackiego. Ironia w niej doskonała, ciepła i nie destrukcyjna, choć cięta wielce i konsekwentna. Oczywiście w aforyzmach trudno jest dopatrywać się określonego światopoglądu, bo przeczyłoby to ich naturze. Cechuje je przede wszystkim, podobnie jak we fraszkach, z którymi ściśle korespondują, wielka miłość do słowa; stąd Giegier wykorzystuje często grę znaczeń, wólbrymnie, nadając im kształt finezyjny i niezwykle subtelny.

„Szkiełko i oko” jest ważnym tomem w rozwoju nie tyle fraszkopisarskim, ile w ogóle artystycznym Giegiera, którego talent na firmamencie polskiej poezji nie zabłysnął zrazu jak meteor efektownie i krótko. Od nie najlepszego i mieszczącego się w tradycjach poetyki klasycznej debiutu poetyckiego minęło czternaście lat. Pracą i wytrwałością w opanowywaniu rzemiosła artystycznego dowiódł Tadeusz Giegier, że jest nie tylko dobrym rzemieślnikiem, ale i artystą zarówno w krótkich wierszach lirycznych, jak i we fraszkach oraz aforyzmach.

* Tadeusz Giegier, SZKIEŁKO I OKO. Rysunki Maja Be-rezowska, Wydawnictwo Łódzkie 1971, s. 109, cena 12 zł.



Fot. W. PARYS

Przeszłość i terażniejszość

Rzadko który z wielkich kręgów problematyki historycznej tak źle znosi zaściankowo parafialskie traktowanie przez historyków jak dzieje ruchu robotniczego. Z radością tedy przychodzi powitać ogłoszoną przez Uniwersytet Jagielloński rozprawę Zygmunta Łukawskiego „Polacy w rosyjskim ruchu socjaldemokratycznym w latach 1883—1893” (1970). Problem wybrany został jak najtrafniej: z obfitością badań nad chronologicznie wcześniejszymi kontaktami Polaków z ruchem narodnickim szczególnie ostro kontrastował brak poważniejszych powiązań polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku, to jest w okresie formowania się ruchu socjaldemokratycznego w Rosji. Był to

czas, kiedy polski ruch robotniczy znajdował się już na stosunkowo wysokim szczeblu rozwoju, czego widocznym objawem było powstanie w 1882 r. Wielkiego Proletariatu. „Pierwsze polskie organizacje robotnicze zdobyły duże doświadczenie w pracy propagandowej i agitacyjnej, rozwinęły też na szeroką skalę akcję wydawniczą w kraju i na emigracji” — podkreśla Z. Łukawski. „W Rosji osiągnięcia i doświadczenia w tej mierze były znacznie skromniejsze. Polacy mogli więc zaoferować swym rosyjskim sprzymierzeńcom bardzo wiele: zarówno wzór na nowe formy pracy organizacyjnej i propagandowej wśród klasy robotniczej, jak również literaturę marksistowską, zwłaszcza popularną”. Dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych te rozwojowe dysproporcje uległy wyrównaniu i od tej pory poczęła

się zaznaczać coraz wyraźniejsza przewaga i rosnący wpływ rosyjskiego ruchu robotniczego na polski, tylekroć potwierdzany przez działaczy, historyków i pamiętnikarzy, by wymienić tylko pamiętnik Ludwika Krzywickiego.

Niewielką rozmiarem monografia Z. Łukawskiego jest pracą analityczną. Autor

Polacy w rosyjskim ruchu robotniczym

drobiazgowo prześledził w niej udział polskich studentów i robotników w propagandzie idei socjalistycznych w Petersburgu, poczynając od kontaktów z grupą Błagojewa i kółkiem wojskowymi, kółkami Bronisława Lelewela i Gabriela Rodziewicza; szczególnie wiele uwagi poświęcił nader żywej dzia-

łalności Wacława Cywińskiego. Następnie zajął się udziałem Polaków w kółkach socjaldemokratycznych na prowincji — w Moskwie, w Wilnie, w Kijowie, Charkowie, Odessie, Dorpacie, Rydze, Tyflisie (dzisiejsze Tbilisi) i Tule, by z kolei przejść do omówienia roli Polaków w kolportażu literatury socjalistycznej w Ro-

si oraz do pionierskich wprost rozważań o recepcji polskiego piśmiennictwa socjalistycznego w Rosji. Z polskich pism socjalistycznych największą popularnością cieszyły się wśród robotników socjaldemokratów rosyjskich zwłaszcza broszury Diksztajna („Kto z czego żyje” — bardzo wysoko oceniona przez Lenina) i E. Abramowskiego.

Wszystkie te drobiazgowo, analityczne ustalenia pozwoliły historykowi na sformułowanie własnego ogólnego poglądu na rolę Polaków w rosyjskim ruchu socjaldemokratycznym w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku. Najsilniej zaznaczyła się ona w Petersburgu oraz miastach litewskich i ukraińskich, co wiąże się z licznymi tam podówczas koloniami polskimi oraz stałym dopływem młodziży studenckiej z Królestwa. Większość spośród polskich studentów, angażujących się w ruch rewolucyjny rosyjskim, rozpoczynała swą działalność od kółek socjaldemokratycznych; potem drogi ich układały się bardzo różnie. Wybitny rosyjski działacz rewolucyjny Michaił Brusniew „z pewnym żalem pisał, że Polacy zawsze traktowali pracę w kółkach rosyjskich jako tymczasową, przygotowującą ich do działalności w Polsce”. Z. Łukawski stwierdza, że „nie jest to chyba całkowicie zgodne z prawdą. W istocie Polacy

działali w kółkach rosyjskich ponieważ byli przekonani, że droga do niepodległości Polski wiedzie przez rewolucję w Rosji i upadek caratu. Należy zatem dążyć do uświadomienia rosyjskiej klasy robotniczej jako tej siły, która jest jedynie zdolna do obalenia caratu. A że Polacy starali się wykorzystać doświadczenia wyniesione z działalności w Rosji w późniejszej pracy rewolucyjnej w Królestwie, o to trudno mieć chyba do nich pretensje”.

Zawdzięczamy Z. Łukawskiemu wnikliwą, znakomicie osadzoną w materiale źródłowym książkę, rzucającą nowe światło na więzi polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego. O międzynarodowych związkach polskiego ruchu socjalistycznego wciąż jednak wiemy zbyt mało. Myślę, że przyjdzie wreszcie czas, aby zająć się także jakże kontrowersyjnymi powiązaniem z socjaldemokracją niemiecką, a zwłaszcza austriacką.

JOZEF GRZELAK

XI KALISKIE SPOTKANIA TEATRALNE

Każdego roku w maju od lat jedenastu kilkaset osób z miast teatralnych udaje się do miasta teatralnego nad Prosną w godziwym bezsprzecznie celu. Głównie — by zaprezentować swą sztukę i zdobyć nagrodę. Nic w tym pragnieniu zdrożnego. Okrucieństwo tego oczekiwania polega na szczupłej kwocie, przeznaczonej dla wyróżnionych, a któż z zainteresowanych nie jest na nie wystawiony. Werdykt jury, opublikowany w „Odgłosach” z 30 maja br., rozwiał nadzieje jednych, przyniósł satysfakcję nielicznym. Ustne komentarze do orzeczeń uciły już zapewne, uwagi pofestiwalowe przeczytamy w prasie, ja natomiast ograniczę się do zwięzłego zdania sprawy.

W odróżnieniu od dwóch ostatnich Spotkań, których prezentacje były wyznaczone jednorodnością gatunkową lub tematyczną repertuaru, obecne Spotkania odbyły się pod znakiem tzw. teatru poszukującego. Takie określenie profilu można interpretować rozmaicie i dość dowolnie. Ostatecznie wolno, a i trzeba zakładać, iż każdy teatr czegoś poszukuje. Szukają nie zawsze wprawdzie odnajdują wartości obiektywne, sprawdzające się w odbiorze przeciętnym, a tym bardziej fachowym, lecz rezultat to różnych uwarunkowań, współczynników talentu, umiejętności itp. Organizatorzy Spotkań wyszli z precyzyjniejszych założeń. W ich rozumieniu teatrem poszukującym jest teatr twórczy, nie zrutyinizowany, dynamiczny, oferujący przedstawienia kontrowersyjne, sporne, lecz artystycznie fascynujące. Siłą rzeczy z tegorocznej emulacji zostały wyłączone niektóre zespoły, przybywające z ośrodków, biorących już tradycyj-

nie udział w kaliskich rozgrywkach. Nie znalazły się m.in. zespoły z Wrocławia, Zielonej Góry i Gniezna. Z informacji, jakie mnie doszły, wiem, że decyzja ta wywołała rozgoryczenie. Cóż robić, zawsze mamy jakieś konsekwencje selekcji. Wybór przedstawień odbył się na podstawie propozycji zgłoszonych przez ankietowanych krytyków, jakiś procent — nie mam pojęcia, jaki — wszedł w szranki konkursu drogą zaproszenia przez gospodarzy, ściśle Komitet Organizacyjny imprezy. Jak wiadomo, z Łodzi pojechały dwa zespoły, Teatru Nowego i Teatru im. S. Jaracza. W tym układzie uznać wypadnie to zaproszenie za wyróżnienie. W formule „teatru poszukującego” znaleźć się musiały zespoły studenckie; istotnie, po raz pierwszy zjawily się tutaj, będąc nie tylko ozdobą, ale i rewelacją Spotkań. Jury, unikając szerszych uzasadnień definicyjnych, oceniło je w kategorii „teatru niezawodowego”, chociaż wytrzymałyby z powodzeniem kryteria stosowane wobec „teatru zawodowego”.

Sytuacja ta wcale nie dziwi obserwatorów teatralnego ruchu studenckiego, przynajmniej w jego najlepszych dokonaniach. Potwierdza się bowiem uparcie przez K. Puzyrę głoszona opinia, iż tu jedynie bija źródła autentycznego teatru. Trudno nie przyznać mu racji. Oczywiście tej konstatacji uderzyła szczególnie, gdy nadarzyła się okazja konfrontacji natychmiastowej produkcji obu grup. Z krytycznego rozważania wynikało, że przyjęte kategorie oceny wzdłuż linii „zawodowości” stają się coraz mniej przydatne, odnoszą się właściwie do struktury organizacyjnej, tuszując czy wręcz gubiąc

z pola oceny elementy artystyczne. W tym sensie był to pomysł szczęśliwy, być może, że przykład kaliski spowoduje do korekty regulaminy innych festiwali: teatr studencki tak wydatnie wzbogaca panoramę naszego życia teatralnego, iż nie sposób go dalej nie dostrzegać w ramach krajowych czy regionalnych przeglądów.

A jednak nie opuszczają mnie wątpliwości, czy dokonana zmiana profilu w jej efektach sprawczych, w oglądanym w tym roku zestawie, sprawdziła się w całej rozciągłości. Nie kwestionując samej zasady — staranniejszy dobór — kluczy w przyszłości nieporozumienia czy pomyłki — interesuje mnie kwestia dorobku obecnych Spotkań, m.in. w porównaniu z ubiegłymi latami. Może się myle, lecz plon mieliśmy ten sam. Dzięki eliminacji nie oglądało się wprawdzie rzeczy poniżej przyzwoitości — niezawodnym sprawdzianem w takich przypadkach jest „śpiew krzesel” — które i tak nie miały nigdy szans przebicia się do przodu, jednocześnie zaś nie nastąpiło wyraźniejsze przesunięcie w zajmowanych dotąd pozycjach w czołówce. Od kilku lat Kalisz jest świadkiem niezmiennych triumfów Trzech Panów: Grzegorzewskiego, Prusa i Korzdzińskiego. Okopali się głęboko na pierwszej linii i wierzyć się wprost nie chce, iżby ktoś potrafił wyprzeć ich z tych szanów chwały. Jeszcze kilku z tej generacji potencjalnie im zagraża, ktoś jeszcze, czego sobie życzę, doszłusuje... Czy cieszyć się z tego? Cieszyć się, ale robi się nieco niemrawo, zapasy tracą na emocji, ot, taka gra w otwarte karty. Zatraca się element niespodzianki, jakkolwiek wszystkie wytoczone tutaj obiekcje nie obniżają stopnia atrakcyjności. Nie to wszakże najgorsze. Obawiam się natomiast, iż nieklamany podziw ludzi tej branży dla rzetelnych talentów twórców nie zawsze bywa podzielany przez odbiorców. W tym miejscu wolno wydać wargi i skwitować sprawę niedojrzałością, brakiem kompetencji, tradycyjnymi przyzwyczajeniami. Nie podzielał takiego mniemania, swoje sądy zwykłem podpiecać, a niekiedy i prostawiać reakcją widowni. Ona mianowicie, jak naucza pewien znakomity teatromentor, weryfikuje spełnienie aktu twórczego.

Skąpiec w tej refleksji przykładami, trzeba coś zacytować. Wspomniany casus rozwięzł wydarzył się np. z łódzką „Czajką”. Spektakl to wyrafinowany w koncepcji, piękny i niezadkowy w warstwie intelektualnej i estetycznej, godzien nawet oddzielnej rozprawki, przecież w realizacji scenicznej nie do końca zinstrumentalizowany, m.in. z winy eżeci aktorów, nie przygotowanych do zadań wy-

znaczonych przez reżysera. Na przyznaną nagrodę zasłużył niechybnie, iluż jednak widzów przyswaja go twórczo, pomijając taki dobriazg, że nikt nie słyszy finału.

I mieliśmy spektakle zasmucające, kiedy trud i inwencja nie zdążyły na wiele, bo nie można było z jałowizny tekstu wydobyc pędów życia. Choćby Bryllowski „Kto ty jesteś”, plód zużytej w tym kierunku wyobraźni i zmęczonego chyba umysłu. Takie teksty odczują się poddając zabiegom reżyserów z tzw. pomysłami, albo odwrotnie bywa: dopiero na takim materiale harcuje się do woli, dokonuje się szaleńczych wygibasów w nadziei, z reguły ponnej, zwrócenia na siebie uwagi. Na takich, tzn. tekstach i reżyserach, nam nie zbywa, gdyż bogata to kraina w talenta bujne. Gdzieś blisko, o miedzę, sąsiaduje z wspomnianym studium banalnego rozpoznawania „Król Mięsopest”,

dwukrotnie pokazywany w Kaliszu (Toruń i Łódź) i dwakroć bez sukcesu. Nb. te dwa dramaty drukował „Dialog”. O czymś to pewnie świadczy...

Dla mnie atoli największą rewelacją Spotkań, poza przedstawieniami studenckimi, był teatr gospodarzy. Nie zamierzam powtarzać zdań o nim, które obiegiły ogólnopolską prasę. Jest to jeden z najciekawszych obecnie teatrów w kraju, każda premia utrwała tę renomę. Autorem sukcesu tego teatru („Szewcy” Witkacego) został jeden z Trzech Panów — Maciej Prus. Nie jest to przecież jego osobista wyłączna zasługa. Dzieło sztuki teatralnej jest wykładnikiem zbiorowych poczynań, jego ranga jest funkcją skomplikowanych układów, wyrasta z określonego kontekstu i pośrednio go opisuje. To truizmem niewątpliwie, Czymś przecie trzeba było zakończyć te uwagi.



A. Grun — grafika

ADAM OCHOCKI

— PÓŁ GODZINY PAN PÓŁ ONA!

— Dla mnie to pan naczelnik ma same duperele, a ona dostaje od pana bomby...

Nie musiałem konkretyzować kim jest ta „ona”. Pan naczelnik doskonale wiedział, zresztą niebawem miał nowy telefon:

— Mnie pan naczelnik zbywa byle czym, a on to zawsze wydebi od pana jakąś sensację...

Ona siedziała naprzeciw mnie, na odległość wyciągniętej ręki. Łączyły nas zestawione biurka redakcyjne, wszystko inne dzieliło. Zwłaszcza to czarne pudełko z ponumerowaną tarczą.

— Może już skończy pani nareszcie?! Muszę dzwonić w pilnej sprawie!

Nawet nie odpowiadała. Patrzyła w bok, w okno, uśmiechając się do niewidzialnego rozmówcy. Niewątpliwie była ładna. Ciemne włosy miała zaczesane do tyłu, z wateczkami, czasem spięte w efektowny kok, migdałowe

oczy ocenione długimi rzęsami, a cera — krew i mleko. Ale gdy rozchyliła w uśmiechu wargi, coś w niej było drapieżnego. równe, białe zęby polyskiwały jak u młodego wilczka. Stożki piersi zajmowały wysuniętą do przodu pozycję atakującą. Znajdowały się jeszcze o jakieś dwadzieścia centymetrów bliżej mnie, wycelowane prosto w moje serce, jak lufy karabinów maszynowych. Była zgrabna, ponętna, ja widziałem w niej Horpynę, Babę Jagę, czarownicę, dyblącą na moją zgubę.

Gadane miała niesamowicie. Potrafiła mówić bez brania oddechu, słowa wyrzucała z gardła miarowo, jednostajnie. Przypominało to tokowanie głośnika. Potokiem wymowy maltretowała nie tylko mnie, omal wrywałem jej z ręki ale i swych rozmówców, nie tedy dziwnego, że musieli się okopywać wiadomościami. Gdy kończyła wreszcie, nieomal wrywałem jej z ręki

rozgrzaną słuchawkę, aby z kolei zadzwonił do swego informatora. Na widelkach słuchawka naszego telefonu odpoczywała tylko po obiedzie. Od dziewiątej rano do trzeciej po południu ludzie z miasta próżno usiłowali połączyć się z numerem 136-56, stale był zajęty.

— Na mnie gada, a sam pytluje jęzorem jak baba w maglu! Może tak już dosyć będzie?

Bezczelność! Rozmawiałem dopiero kwadrans, gdy ona przeszło pół godziny nie odejmowała słuchawki od ucha.

Po kilka razy dziennie biegaliśmy na przemian do innych pokoi w poszukiwaniu wolnego aparatu. I wtedy właśnie, kiedy jedno z nas było nieobecne, wylewaliśmy gorzkie żale w rodzaju „dlaczego jej (jemu) pan daje, a mnie nie”. Nie omijałmy żadnej okazji utrudnienia sobie życia.

Poza obstrukcjami telefonicznymi najczęściej praktykowanym sposobem było włączanie maszyny do pisania, gdy drugie wisiło przy słuchawce. A że zarówno ona jak i ja w klawisze waliłiśmy jak w kaczy kuper (maszyny były redakcyjne), w słuchawce ledwo dało się rozróżnić słowa rozmowy. Chętnie też stosowaliśmy metodę podglądania. Broń Boże w czasie robienia się, o żadnych strip-teasach mowy nie było. Podglądaliśmy się wzajemnie w trakcie notowania. Gdy jedno rozmawiało przez

telefon, zapelniając gryzmołami kartki papieru drugie zapuszczalo przez biurko zura, starając się rozszyfrować przyjmowaną wiadomość, aby umieścić ją w swym serwisie dziennym i wcześniej oddać Polakowi. Bo w „Expressie” obowiązywała zasada ekspresowa: czyj kawałek był wcześniej dostarczony, ten szedł do gazet. Numery telefonów wykreślaliśmy w sposób jak najbardziej zakamuflowany, odwracając się tyłem do siebie, czy też zastaniając tarczę gazeta. Rozmawiając staraliśmy się jak najwięcej notować i jak najmniej zadawać pytań, żeby nie zdradzić się w czym rzecz — przed mającym wciąż otwarte uszy vis a vis.

To był szatański pomysł szefów — posadzić nas razem!

— Panie Kiepusa, przeniesie się pan na górę. Będzie pan siedział z Weissową — powiedział Polak, gdy rozpoczęło się zasiedlanie drugiego piętra.

— Panie redaktorze... a nie lepiej dodać jej Grünfelda. Mam bardzo zazdrośny sympatię, a ona w dodatku tyle gada...

— Grünfeld ma siedzieć w Glückiem jak datą. Co pan kręci nosem, to fajna babka!

— Stary babsztyl, niedługo trzydziestka wejdzie jej na kark. Naprawdę, panie redaktorze...

— Idź pan na górę i już! Pracujecie oboje w „Expressie” i razem będziecie siedzieć!

Ze też zabrakło mi wtedy sił do dalszego oporu!

Gdy wszedłem do pokoju z mymi papierzyskami pod pachą, Weissowa rozmawiała przez telefon. Gońcy przystawili do dołu moje biurko, przystawili do tamtego, przynieśli kosz na śmieci, krzesło, lampę, a ona jeszcze rozmawiała. Rozlokowałem się, poukladałem równo swe rzeczy w szufladach, ona wciąż trzymała słuchawkę przy uchu. Odłożyła ją wreszcie, ale na biurko, na chwilę, bo zawołała ją do sąsiedniego pokoju — był to niej telefon z miasta. Położyłem słuchawkę na widelki i zabrałem się do dalszych porządków.

I tak się zaczęło, chociaż właściwie nie miało to znaczenia. Do starcia i tak musiałyby dojść, nie dziś, to jutro, nie teraz, to za godzinę. Kłótnie kto ma dzwonić i jak długo trwały cały dzień. O słuchawkę walczyliśmy z sobą jak psy o kość tukową. Dopiero po obiedzie, gdy nasi informatorzy korzystali w domu z zasłużonego odpoczynku, nastawała pora względnego spokoju. Względnie, bo teraz przychodziła kolej na zimną wojnę — kto szybciej zapelni kartki i dostarczy je szefowi. Na przeczytanie tego co się napisało, brakło czasu. Utworzy swe, jeśli nie wylądowały w koszu, czytaliśmy nazajutrz w „Expressie” przy obliczaniu wierszówki (własnej i konkurencyjnej).

Jej sytuacja była niewątpliwie lepsza, zwłaszcza na po-

czątku. Miała chociaż coś pewnego w gazecie — całą szpaltę „Dobrych rad” (podpisywała się „Iva”) na drugiej stronie. Na 80—90 wierszy codziennie mogła liczyć, gdy mnie trafiały się dni bez jednego wiersza. Pocięszalem się tylko tym, że tak samo jak ja, nie ma ona stałej pensji.

W pierwszych kilku miesiącach uprawialiśmy determinacyjną partyzantkę. Każde z nas dzwoniło gdzie się dało, oczywiście poza Policją, Strażą Ogniową i Pogotowiami, bo te instytucje obdzwaniał (za pensję!) Grünfeld. Nie wolno też nam było kontaktować się w żadnej formie z Radą Miejską i wydziałem prezydiaralnym Zarządu Miejskiego. Od tego był Bolek Rawicz. Bilem ją operatywnością, ale ona pisała lepiej. Miała wyrobiony, dojrzały styl, jej kawałki pełne porównań, przenośni i opisów czytało się o wiele lepiej, więc gdy nasze rzeczy dublowały się, z reguły ona wychodziła obronną ręką z tych zapasów.

Zaleceń redaktora Polaka, żebym chodził po mieście i zbierał wiadomości, szybko puściłem w niepamięć. Tego tylko brakowało! Wyjdę z redakcji, a ona rozdzwoni się na całego. Nim dotrę do jakiejś instytucji, ona zdąży już wydusić wszystko. Telefon jest szybszy ode mnie, a z nią i telefonem jednocześnie konkurować nie mogłem. Poza tym miasto to nie las, a wiadomości nie grzyby, któ-

Wczoraj i jutro czterdziestolatka

W 1930 r. otwarto w Łodzi w gmachu Ratusza skromną galerię zwana Miejskim Muzeum Historii i Sztuki im. J. K. Bartoszewiczów. Cała kolekcja, przeszło 100 obrazów olejnych, akwarel, rysunków, grafik i rzeźb stanowiła dar historyka i literata Kazimierza Bartoszewicza na rzecz Gminy m. Łodzi.

W tym samym czasie Władysław Strzemiński, zamieszkały podówczas w Kuluszkach, gdzie nauczał rysunku w szkole, z ramienia grupy „a. r.” rozpoczął starania zmierzające do zebrania międzynarodowej kolekcji sztuki nowoczesnej w Polsce. Dzięki przebywającym w Paryżu członkom grupy — poecie Janowi Brzękowskiemu i plastykowi Henrykowi Stażewskiemu, starania te zaczęły nabierać realnych kształtów. Szacunek, jakim cieszył się Strzemiński wśród twórców paryskiej awangardy, spowodował, że wkrótce zaczęły do Polski napływać dary — dzieła sztuki nowoczesnej. Dary — bo zebranie takiej kolekcji możliwe było jedynie w drodze darowizny; ani Strzemiński, ani nikt ze spontanicznie pomagających mu osób nie posiadał żadnych środków na zakupy. Jednakże dzięki wydatnej pomocy organizacyjnej Michela Seuphora i Jean Arpa — twórców związanych bezpośrednio z początkiem sztuki awangardowej — którzy rozwijali wówczas ożywioną działalność w grupie „Cercle et Carré” — krąg ofiarodawców szybko się rozszerzył. Tak więc już w wydawnym w 1932 roku katalogu kolekcji Sztuki Nowoczesnej, figurowały prawie wszystkie dzieła, jakie zwieziono do Łodzi w okresie międzywojennym.

Zwieziono je do Łodzi, bo Strzemiński, który w międzyczasie to osiadł na stałe, zdolał uzgodnić z władzami magistrackimi, że kolekcja sztuki nowoczesnej stanie się częścią zbiorów łódzkiego Muzeum Sztuki jako depozyt grupy „a. r.”. Ani bowiem grupa „a. r.” ani kolekcja jako majątkowa całość nie posiadały osobowości prawnej. Dlatego też przyłączenie jej do bar-

dzo skromnych i miernych pod względem wartościowym zbiorów Muzeum im. J. K. Bartoszewiczów, stanowiło niejako akt nadania kolekcji glejtu oficjalności.

Była to wówczas rzecz niemal bez precedensu. Łódzkie zbiory sztuki nowoczesnej stały się bowiem drugą w świecie — po Hannoverze — oficjalną kolekcją tej sztuki. Czym to było w okresie, kiedy nie wszyscy oswoili się jeszcze z impresjonizmem, a kubizm stanowił wciąż herezję — wiedzieli tylko ci, którzy w imię uczciwości wobec sztuki, podjęli to niezwykle przedsięwzięcie.

Tworzenie zrzębów konstruktivismu było tym wspaniałym okresem, kiedy udział w tworzeniu nowej rzeczywistości artystycznej wyrażał się w spontanicznym i bezinteresownym uczestniczeniu w każdej akcji, każdym działaniu sztuce poświęconym. Dlatego też kolekcja łódzka stała się symbolem ofiarności i solidarnej życzliwości ludzi sztuki.

I choć Muzeum od roku 1933 rozpoczęło się rozwijać jako uniwersalna placówka muzealna, to przecież dzięki istnieniu w nim kolekcji sztuki nowoczesnej, jego znaczenie i popularność nabrały wyjątkowej wagi.

Tak więc i dzisiejsze znaczenie Muzeum Sztuki w Łodzi opiera się wyłącznie na tamtej tradycji. Dalekowzroczność i mądrość w przewidywaniu kierunku rozwoju sztuki, które reprezentowali Strzemiński, Stażewski, Brzękowski, Seuphor, Przyboś, Chodasiewicz-Grabowska, czy pierwszy kustosz Muzeum — Przemysław Smolik, złożyły się na ową szczególną wartość łódzkiej placówki muzealnej. Dziś, większość światowych muzeów dobiła się o pojedyncze choćby prace Legera, Arpa, van Doesburga, Vantongerloo, Ernsta, Prampoliniego, Caldera — oferując za nie ogromne sumy. Istnienie dzieł twórców w łódzkim Muzeum jest dowodem przenikliwości i nieomyślności doboru tych, którzy kolekcję zebrali.

Utrzymanie tej opinii i tej rangi dziś — przy niezwykle gwałtownym rozwoju nowoczesnej

sztuki — nie jest już sprawą łatwą. Wobec istnienia wielkiego rynku sztuki, kontynuowanie zbiorów pod kątem rozwojowym wytyczonym przez konstruktivism — przy braku odpowiednich środków na zakupy — napotyka dziś na poważne trudności. Oczywiście renowa Muzeum powoduje, że wielu artystów czuje się w obowiązku i dzisiaj złożyć jakiś dar ze swoich prac. Jest jednak faktem, że okazjonalne, drobne zakupy i dary nie mogą stanowić podstawy rozwoju takiej placówki, jaką jest łódzkie Muzeum Sztuki. Chociaż nawet te zbiory, które dziś posiada Muzeum mogą być eksponowane w bardzo niewielkim (nie przekraczającym 10 proc.) stopniu. Dalszy rozwój, bez możliwości rozbudowy Muzeum, jest ze względu na czysto lokalowych niemożliwy. I taki jest dzień dzisiejszy, obchodzącego swój jubileusz 40-lecia Muzeum.

Operatywność i poświęcenie dzisiejszej dyrekcji nie zmieniają faktu, że Muzeum ze swymi zbiorami, które

przecież powinny być rozszerzane stale, dusi się coraz bardziej i nabiera charakteru magazynu, a nie sali ekspozycyjnej. Jest to wielkim paradoksem.

Muzea regionalne i okręgowe nie posiadające tej tradycji i tej renomy, co łódzka placówka, dysponują powierzoną wystawową kilkakrotnie większą niż Muzeum, które jest dumą polskiej kultury wobec całego świata. Łódzkie Muzeum — muzeum Strzemińskiego i Wielkiej Awangardy skazane jest dziś na dreptanie w miejscu.

A przecież istnieją gdzieś wije nowoczesnego gmachu, gdzie zbiory sztuki będą mogły być pokazywane bez przeszkód i gdzie będą mogły stale wzrastać nowe — jak słońce drzewa — warstwy nowej, wciąż rozwijającej się sztuki.

Takie Muzeum — gdy doczekało się ono imienia Władysława Strzemińskiego — jest stałą nadzieją wszystkich, którym sprawy prawdziwej kultury nie mogą być obojętne.



W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- W. RYMKIEWICZ — Cedry i palmy. (Wrażenia z Włoch)
- Z. TARNOWSKA — Ach, co to był za bal.
- M. STOLARSKI — W blasku olimpijskiego znicza.

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.



PARADA MINISTRÓW

„Światowid”, magazyn poświęcony polityce międzynarodowej, od dawna wyrobił sobie dobrą markę u widzów. Oczywiście, u tych, którzy nie włączają telewizorów wyłącznie w celach rozrywkowych. Trudne, niejednoznaczne problemy stosunków międzynarodowych przedstawiane są w tym programie w sposób w miarę nie uproszczony, nawiązujący do skomplikowanej struktury świata, w którym przyszło nam żyć.

Jako szczególnie cenną postawę redaktorów tego magazynu uznać należy uprawianą na co dzień kult kompetencji. Prowadzący stale program red. Dylawski nie pretenduje do roli omnibusa, ani „najmądrzejszego z całej klasy”. Do poszczególnych problemów zapraszani są eksperci, czy to korespondenci prasowi, czy pracownicy służby dyplomatycznej, czy też naukowcy.

Naświetlanie wycinkowych spraw polityki światowej dokonywane jest zatem przez ludzi, którym dana problematyka jest dobrze znana, którzy w danym kraju spędzili długie lata itp. Taka metoda budzi u widzów zaufanie, a sam program uatrakcyjnia dzięki prezentacji coraz to nowych specjalistów o różnym punkcie widzenia, różnym temperamencie, odmiennym sposobie wypowiedziania się.

Można więc bez obawy zaryzykować twierdzenie, że „Światowid” należy do najlepiej prowadzonych i przygotowywanych programów cyklicznych, a jest przy tym programem o długim oddechu, prowadzonym w tygodniowej rotacji już od lat. Na te pochwały zespół redagujący magazyn z pewnością zasłużył. Jak i na tegoroczne wyróżnienie nagrodą „Złotego Ekranu” ufundowaną przez tygodnik filmowo-telewizyjny „Ekran”.

Ostatnia edycja „Światowida” (mam na myśli tę z dnia 23. VI) zasługiwała na szczególną uwagę. Poprzedziły ją zapowiedzi prasowe, anonsujące, że program jej poświęcony będzie ocenie aktualnego stanu dyskusji na temat bezpieczeństwa europejskiego i współpracy ogólnoeuropejskiej. Zapowiadano również udział w programie ministra spraw zagranicznych Australii dr R. Kirschschaegera, sekretarza stanu francuskiego MSZ — Jean de Lipkowsky'ego, sekretarza stanu belgijskiego MSZ — Etienne Davignon, wiceministra spraw zagranicznych Norwegii — T. Stoltenberga, komentatora politycznego dziennika moskiewskiego „Prawda” — W. Majewskiego, wiceministra spraw zagranicznych PRL — Józefa Czyrka i dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych — dr Ryszarda Freika.

A więc cała plejada ministrów! Coś, czego jeszcze w Telewizji Polskiej nie było. Trudno, oczywiście, oczekiwać, że taki zespół ludzi zjedzie na określony dzień do studia na Woronicza. Redaktorzy „Światowida” wpadli na lepszy pomysł, wykorzystując możliwość niwelacji czasu i przestrzeni, jakie daje technika telewizyjnego zapisu. Tak się złożyło, że większość polityków zagranicznych wymienionych wyżej bawiła ostatnio w Warszawie. „Światowid” wykorzystał to szczęście, zadając im wszystkim te same trzy pytania dotyczące stosunku do konferencji na temat bezpieczeństwa europejskiego i oceny aktualnego stanu dialogu w tej sprawie.

Dobór rozmówców, choć narzucony częściowo przez życie, nie był całkiem przypadkowy. Obok polityków polskich i przedstawicieli Związku Radzieckiego wypowiedzieli się ministrowie małych i średnich państw europejskich — a więc tych zainteresowanych szczególnie postepem dialogu europejskim — oraz Francji, jednego z mocarstw zachodnich, konsekwentnie dążącego do poszerzenia i pogłębienia pokojowych stosunków Wschód — Zachód. Jeśli już formułować jakiś zarzut, to dał się odczuć brak przedstawiciela Finlandii, tego państwa, które szczególnie intensywnie pracuje nad tym, by konferencja europejska w sprawie bezpieczeństwa doszła do skutku.

Nie będę tu streszczał przebiegu programu. Ograniczę się do stwierdzenia, że wykazał on ewidentnie, że obok państw eozu socjalistycznego istnieją w Europie oficjalne siły polityczne, których poglądy na sprawy bezpieczeństwa tej części świata są zbieżne z naszymi. Taka była krzepiąca konkluzja ostatniego „Światowida”, który uznać należy za szczególnie udany.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



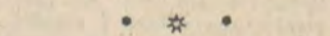
O FILMACH DOBRZE I ZŁE

tafory. Uosabia również stan ducha bohatera — tak czuł się wśród ludzi, choć ci, którzy go w tej scenie szczeni, nie byli winni, tak jak i on wobec nich. Schorm do tej kulminacji doprowadza stopniowo, wszystko, co ją poprzedza, jest rejestracją świata tylko przeciwnego, w którym beznadziejność egzystencji jest dniem powszednim nie tylko Jana, ale wszystkich, wśród których żyje. Jana jednakże doprowadza ona do wewnętrznego kryzysu, do niemożności powrotu do świata, w którym nie tylko nie potrafi odnaleźć wartości określających sens jego życia, lecz w którym również ludzie stają się wrogami. Czy ten stan świadomości jest już chorobą? Czy ona determinuje decyzje Jana? Czy jego powrót do szpitala jest wyrazem wolnego wyboru? Jedyną, najbardziej odpowiednią w filmie Schorma nie ma.

Gdybyśmy jednak nawet przypadek samouderzenia Sebeka traktowali jako stan patologiczny, wszystko, co wokół niego jest, jest sama „zdrowa rzeczywistość”. Jej obraz zaś jest w filmie Schorma najbardziej przejmujący, najbardziej znaczący. Jest to realność obnażająca, to, co w filmie czeskim u-

derza nas zawsze najbardziej, co musi być siłą filmu reżyserskiego, którego nazywa się „mózgiem szkoły czeskiej”. W wolnym rytmie posępnych, a przecież pięknych obrazów rejestrujących świat „zdrowej rzeczywistości” odnajdujemy przenikliwe spojrzenie Schorma na społeczne i obyczajowe stosunki, w których gina wartość wyznaczająca sens życia, w których nawet miłość nie może stać się ucieczką czy szansą, choć kurczowo chwytają się jej wszyscy główni bohaterowie filmu. Usiłuje nadać jej wartość i Jan, i jego żona, Jurek i Olga, wierzą, szukają, ośzukują się. Spośród tej czwórki Schorm nieoczekiwanie, choć konsekwentnie wysuwa, wraz z przebiegiem zdarzeń, na plan pierwszy żonę Jana. Ona staje się nosicielem „logiki trzech wartości”, tam, gdzie dla Jana mogły być tylko dwie odpowiedzi — „tak” albo „nie”. Czy niemoralność żony Jana jest niemoralnością? Czy jej smutek jest smutkiem reżysera, czy pogodzenia, bo to nie to samo znaczą. Czy jej „sposób życia” mogą przyjąć wszyscy. Jan również? Schorm pyta i drażni. Świadomie wybiera do tej roli Janę Břej-

chową — „gwiazdę”, którą publiczność zwykła traktować i rozumieć jednoznacznie. W „Powrocie syna marnotrawnego” nie ma jednakże jednoznaczności, są obrazy ludzi i zdarzeń, są pytania. Dramaturgia filmu Schorma jest dramatyczną pytań. Jest ich wiele, można nawet ich kolejność do wolnie przestawić, zawarte są jednak w obrazach, z których ani jednego uronić nie wolno. W historii Jana spotykają się te pytania w scenie polowania na człowieka, która przeważa w jego losie. W historii Jany i innych tej kulminacji nawet nie będzie. Będą żyć jak żyli, czy to znaczą, że są zdrowi?



Filmowi, w którym dominantą wyrazową obrazów jest burzliwa fala, reżyser, Stanisław Lenartowicz nadał tytuł „MARTWA FALA”. Po obejrzeniu filmu widzowi nasunąć się może pytanie, czy w tytule tym trzeba szukać autoironicznych akcentów, czy tytuł jest tylko przypadkiem. Widząc zaś film Lenartowicza w kontekście innych dzieł ostatniego roku polskiej kinematografii, trzeba pytać o ironiczny sens tego tytułu w całym układzie sił tegoż kinematografii. „Martwa fala” Lenartowicza płynie bowiem po martwym morzu scenariuszowych koncepcji i realizatorskich umiejętności.

Przygoda jest przygodą tylko wtedy, gdy nią jest. Film przygodowy musi mieć pomysł, bohater, konflikt i burzliwe perypetie, tempo, a wszystko to zawarte w atrakcyjnym obrazie. „Martwa fala” ma ponoc bohatera, ma ponoc konflikt, nie ma zaś całej reszty. Pomysł bowiem tego marksistowskiego filmu to — więcej niż stereotyp, ku niemu zatem ciąży wszystko, co w filmie tym znaleźć można. Jedno w nim tylko nie było, w warunkach oczywiście polskiej kinematografii, stereotypem — sam znakomity koncept realizatorów, by urządzić sobie piękną wycieczkę na statku handlowym PLO do krajów Ameryki Południowej, do których szlak wiodł przez Hamburg, Lizbonę, wody Atlantyku i Kanalu Panamskiego. Co na tym zyskali widzowie „Martwej fali” lepiej właściwie byłoby przemyśleć, gdyż rzecz zakrawa niemal na skandal. Tych kilka widoczków głównie miejskich ulic, widoczków nader banalnych i nieciekawych, nieudolnie sfotografowanych można było im darować. A jeśli już, to wystarczyło wyciąć je z niejednego przystojnego filmu dokumentalnego. Reżyser Lenartowicz i operator Stawicki film swój dołączyli do niedużych zamorskich wypraw realizatorów „Zejszcia do piekieł” i „Pogoni za Adamem”. Nieudanych chyba tylko dla widzów.

ŻWA NURCZYŃSKA

Kryminalny seans

Na wielkim ekranie pojawiła się sex-bomba. Usłyszałem lekkie westchnienie. Spojrzałem na dziewczynę siedzącą obok. Dziewczyna była świetna, o kształtnej, dobrze zbudowanej sylwetce. Mruknąłem: — Ależ scena!

Spojrzała na mnie chłodnym wzrokiem, ale chłod spojrzenia szybko stopniała. Uśmiechnęła się.

— Świętym film, nie?

— Dziewczyna też — odpowiedziałem.

Po kilku błyskotliwych spostrzeżeniach dzielił się nasz czas między oglądanie filmu i rozmowę. Jakos bardzo szybko nasze ramiona spały się. Byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy. Zdaje się, że pójdzie łatwo. Było wczesne popołudnie i siedzieliśmy w olbrzymim kinie prawie samotni. Spojrzałem na zegarek. To była pora, kiedy musiałem zatelefonować. Położyłem kapelusz na krześle i wyszedłem z sali.

Kino Cathay było olbrzymie i dziwaczne, jak pałac maharadży. Właściciel Roscol Keeler szczył się budową i posiadaniem kilku takich monstrów w kraju.

Wróciłem podczas kroniki filmowej. Dziewczyna siedziała wygodnie przechylona na bok. Usiadłem i ująłem ją pod ramię. Jej włosy opadały mi na ramię. Kronika skończyła się.

— Chodźmy — powiedziałem. — Postawię pani drinka.

Nie poruszyła się. Jej głowa spoczywała na moim ramieniu. Uniosłem się powoli, a ona przechyliła się bezwładnie na moje krzesło. Usiadłem z powrotem i trwałem w bezruchu. Po chwili światła na widowni zapaliły się. Patrzyłem bezmyślnie na jej jasnobrązowe włosy, wijące się na karku. Między rzędy weszła bileterka. Kiedy zbliżyła się do nas, przystanąłem, by coś powiedzieć, popatrzyła i wydała przeraźliwy okrzyk.

Włosy dziewczyny czerwieniały. Krew spływała na moją prawą rękę. Ladna historia — pomyślałem. I co teraz?

Następna godzina powinna być na zawsze wymazana z mojego życiorysu. Pozostało po niej tylko niejasne wspomnienie. Wszystko, co zapamiętałem, to fakt, że siedzę w biurze kierownika i patrzę na ciało dziewczyny. Przyniesiono je tutaj i położono na kozetkę. Pamiętam, że w pokoju było pełno mężczyzn i jeden z nich zadawał mi pytania, na które odpowiadałem tępo. Dopiero stopniwo zacząłem orientować się, kim jest ten człowiek. Nazywał się Alec Hynd, był oficerem policji, detektywem.

Miał długą, nieruchomą twarz z głębokimi bruzdami, spojrzenie twarde, zawzięte. Był tu postać centralną. Reszta stała i patrzyła na niego.

— Gdzie pan, schował nóż Crown? — zapytał.

Wiedziałem, że moje nazwisko można znać z różnych źródeł. Peter Crown — nagła pomoc, ekspert od rozwiązywania trudnych problemów. Jakież to śmieszne, ekspert, który nie może pomóc sobie.

— Nigdy nie miałem żadnego noża — odpowiedziałem.

Śmiech Hynda nie zabrzmiał sympatycznie.

— Powiedział pan, że wyszedł do telefonu. Gdzie pan schował nóż?

Potrząsnąłem głową. — Te musiało się wtedy zdarzyć. Ktoś zakradł się, usiadł za nią i wbił jej nóż w plecy. Kiedy wróciłem i usiadłem, jej głowa opadła na moje ramię. Myślałem, że jej się podobam. A ona już nie żyła.

— Gdzie pan go schował? — powtórzył z uporem Hynd. — To jest wielkie kino, Crown. Może pan nam oszczędzić mnóstwo czasu i kłopotów.

Miałem już tego dosyć.

— Słusznie — powiedziałem.

— Powiem wszystko. Zanotujcie. Zabiłem ją. Nie znośmłem zapachu jej perfum. Okropnie mnie to denerwowało. Więc wsadziłem jej nóż w plecy i siedziałem spokojnie, żebyście mnie mogli złapać.

Hynd zacisnął usta.

— Możemy panu udowodnić,

że śledził ją pan. Przyszedł pan za nią do kina. Portier widział pana i zapamiętał, bo znał dziewczynę.

— W porządku — powiedziałem — przyszedłem tu za nią. — I wiedział pan, kim była. Wiedział pan, że nazywa się Helena Craig.

— Tak, znałem jej nazwisko. Hynd wyprostował się: — Czego pan chciał od tej dziewczyny?

— Pracowałem nad pewną sprawą i musiałem z nią porozmawiać. Gdzie jest pan Bolton, kierownik?

Rozejrzałem się dokoła: — Niech mi pan powie, Bolton! Wyszła się do przodu, mały, nieskazitelnie ubrany człowieczek, bladolicy i bladooki.

— To prawda, panie Hynd. Crown pracował dla nas od dwóch dni — powiedział.

— Co robił?

— Kontrola mechanizmów. Pan Keeler zaangażował go. Interes podupada. W tym kinie i w innych. Myśleliśmy, że ekspert może coś pomóc.

Odezwałem się: — Mniej więcej dwa tygodnie temu Helena Craig przestała tu być kasjerką. Odkryłem, że na koncie bankowym ma masę pieniędzy. Wszystko zdeponowane w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Chciałem zaprzyjaźnić się z nią, zdobyć jej zaufanie, nie mówiąc kim jestem i w ten sposób znaleźć związek między tymi pieniędzmi a jej pracą w kinie.

Hynd nie wyglądał na zadowolonego. Zastosował wobec mnie krzyżowy ogień pytań, żeby złapać mnie na sprzecznościach, a w rezultacie wyszło na to, że ja mu wskazałem drogę, którą ma iść.

W końcu zostaliśmy we dwójkę z Boltonem. Wyciągnął butelkę szkockiej i dwa kielszki. Wychyliłem jeden, potem następny. Po czułem się lepiej.

— Fatalna reklama — mruknął Bolton. — Fatalna.

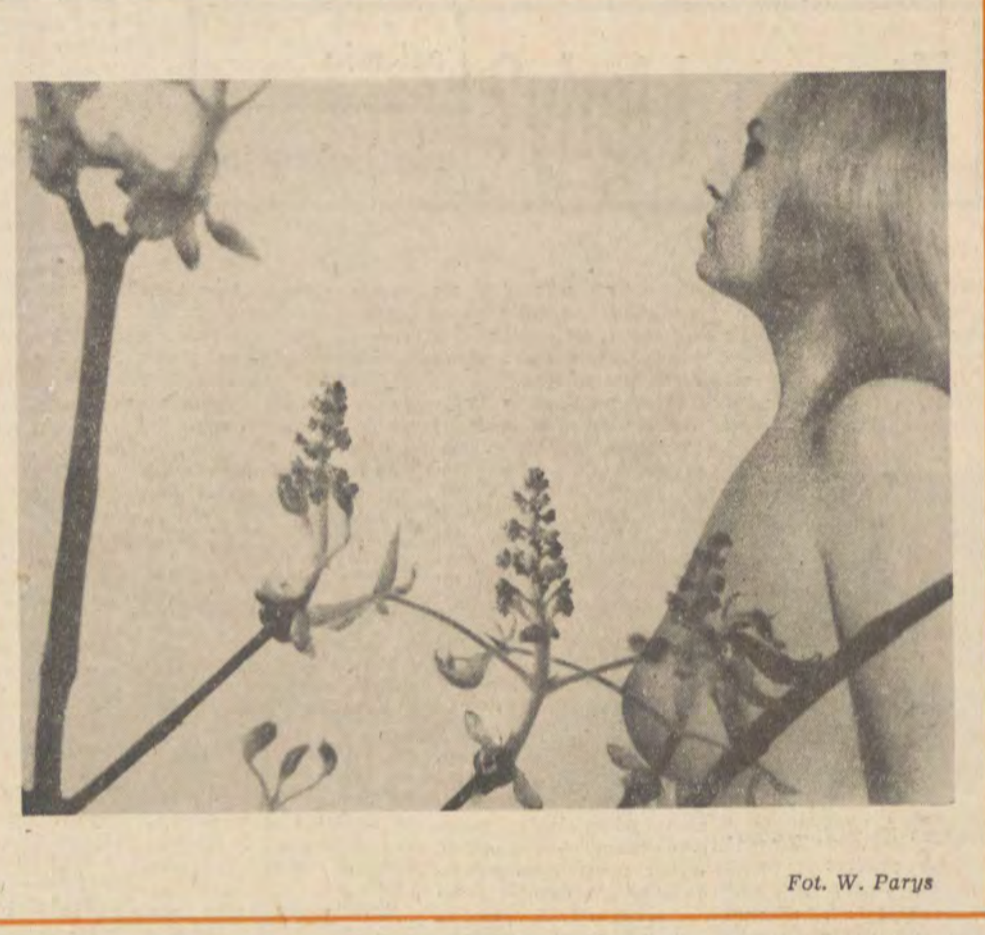
— Może nie. Ludzie są żądni sensacji, może to właśnie przyciągnie ich do kina.

— Miejmy nadzieję. Jeśli interes pogorszy się, będę szukał innej pracy.

— Co pan wie o Helenie Craig? — zapytałem.

— Niewiele. Pracowała tu około roku. Wyglądała na solidną dziewczynę, lubiłem ją. Mieszkała razem z jedną z naszych pracownic. Może pan z nią później porozmawiać.

Drzwi otworzyły się. Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Miał falujące, czerwone włosy, spiczaste czerwone wąsy i oczy, które wyglądały też jak czerwone.



Fot. W. Parys

— Maszyna biletowa jest puista. Czy mogę wziąć nową rolę, panie Bolton? — powiedział.

— Zajmę się tym sam, Vic — odrzekł Bolton i zwrócił się do mnie. — To jest Vic Schramm, mój pomocnik.

Podszedł do sefju i rzucił przez ramię:

— Zajmij się panem Crown, Vic. Udziel mu wszystkich informacji, których potrzebuje.

Usta Schramma ułożyły się w uprzejmy uśmiech. Wyszliśmy z biura Boltona. Schramm powiedział: — Paskudna sprawa z tą dziewczyną. Myślę, że gliny zamkną interes na dzień albo dwa.

— Znal ją pan?

Wyszczereżyłem zęby w szerokim uśmiechu: — Niezbyt dobrze. Widzi pan, na moim stanowisku nie mogę spoufalac się z niższym personelem.

— Co należy do pana obowiązków?

— Och! — wzruszył ramionami — Ich zakres jest dość ograniczony. Mam oko na cały personel, pilnuję, żeby byli uprzejmi i obowiązkowi. A także, żeby filmy przychodziły tu na czas.

— Kto kupuje filmy?

— Pan Bolton. — Plecy ułożyły się w bezradnym geście. —

Często nie zgadzam się z jego wyborem, ale...

To, czego nie dopowiedział, miało oznaczać, że Bolton jest dużej klasy partaczem. Zmienił temat.

— Czy mają zamiar zaangażować nowy personel?

— To zależy — powiedziałem enigmatycznie.

Teraz już wyraził swoją myśl bez osłonek.

— To miejsce wymaga nowej krwi.

Spojrzałem na niego! — Może. Jeśli źródło kłopotów tkwi rzeczywiście w kierownictwie.

S skierowałem się do foyer. Kiedy rano szedłem za Heleną Craig, kupiłem bilet. Zrobiłem to, ponieważ nie byłbym pewny, czy portier rozpozna mnie, a bałem się ją zgubić. Ale mimo pośpiechu zapamiętałem dziewczynę z kasy. Siedziała tam w dalszym ciągu, tylko teraz nie była sama. Bolton majstrował coś przy automacie biletowym.

Wyglądało, że bardzo się śpieszy. Zauważył mnie.

— Czy pan wie z czym muszę walczyć, Crown? Bilety spadają na dół. Nikt mi o tym nie powiedział. Cały czas tak szło. Gdzie jest Schramm?

Opuścił kasę w pośpiechu.

Stanąłem przy oknie i patrzy-

łem na kasjerkę. Była mała, drobna, miała uśmiech aktorki filmowej. Nic nie mówiłem, uśmiech zgasł. Nie wytrzymała.

— Ile pan sobie życzy?

— Tak naprawdę, to nie chcę biletu — powiedziałem.

Nagle uśmiech pojawił się znowu.

— Wiem — rzekła — pan tu coś robi, pan Schramm mi powiedział.

— Co jeszcze powiedział pan Schramm?

— Żeby uważać. Że pan wygląda na niebezpieczny charakter.

— A czy ostrzegal panią przed pójściem ze mną na kolację? Kiedy pani skończy?

— O 9,30.

— Będę czekał. I proszę się nie spóźniać, bo będę czekał z zapartym tchem.

Tuż przed 9,30 podszedłem do gmachu kina. Vic Schramm ujął się wzdłuż kolejki, usługując zaprowadzić życzek.

— Chciałbym, żebyśmy mieli dziś tysiąc miejsc więcej — powiedział do mnie.

Dokończenie nastąpi



Lewym okiem

PRZEGLĄD PRASY

W jednej z najnowszych, „pogrudniowej” rubryce „Kultury”, poświęconej Zdarzeniom, Ludziom i Poglądom, mogliśmy sobie przeczytać, że przed dwoma laty obowiązywało w Polsce 66 tysięcy resortowych aktów prawnych, czyli zarządzeń, okólników i instrukcji. Ponieważ mamy 23 resorty, wynika z tego, że średnio każdy resort obstarwił swoją działalność z grubszą trzema tysiącami przepisów. W roku bieżącym liczba ta spada ponoć do 15 tysięcy, czyli do 650 na resort. Jako wieloletni urzędnik wiem, że publikowane akty normatywne stanowią zaledwie część przepisów i rozporządzeń, obowiązujących tak zwany aparat. Oczywiście jest też, że np. w Min. Żegluga na pewno mniej jest zarządzeń niż w resortach obejmujących wielką różnorodność spraw i wielce skomplikowaną materię społeczno-gospodarczą. Na pewno więc są resorty, w których dobry urzędnik w „terenie” powinien znać ekspedite jeszcze dziś — nie 650, lecz dwa —

trzy razy tyle normatywnych aktów, umieć się między nimi — a może mimo nich — obracać, dopasowywać do nich swoje decyzje. Pewnie — najlepiej nie decydować nijak. Wtedy bowiem prawie na pewno nie naruszy się żadnego przykazania.

W tym samym numerze „Kultury” czytamy też, że wolumen wody użytkowej (tak, właśnie zwyczajnej wody) w naszym kraju wynosi tyle, że każdy z nas może sobie pozwolić na zużycie roczne nie więcej niż 1.800 metrów sześciennych. Jest to jeden z najniższych wskaźników w Europie. Co by tu zrobić, żeby zarządzeń było mniej, a wody — więcej?

Oprócz zarządzeń i pism okólnych są jeszcze polecenia, dotyczące spraw wycinkowych, specyficznych i wydawane przez resort ciurkiem, na bieżąco, poszczególnym podległym jednostkom, a nawet ich poszczególnym wydziałom. Takie polecenia zagęszczają okoliczności opłatającej inicjatywę i całkiem zwyczajnie — czas aparatu terenowego — do tak mikroskopijnych rozmiarów, że nie pozostaje już nic innego jak tylko jako tako w tej sieci się przytulić i nie dać wziąć na rożen.

Natomiast oprócz 1.800 metrów sześciennych wody na nic więcej z żadnego źródła na razie liczyć nie możemy. Jeżeli więc na czymś musimy oszczędzać, to na zużyciu wody, a nie na inwencji akto-twórczej.

Nieco dawniej znalazłem w prasie informację, że próbną wiercenia geologiczne kosztują nas około trzech miliardów złotych rocznie, a na papierosy wydajemy ponad 13 miliardów złotych rocznie. Ponieważ są wśród nas dzieci poniżej czternastu lat, które raczej nie palą, a jest ich okragło 9 milionów, przeto całe 13 miliardów przepala reszta społeczeństwa (licząc w tym babie po osiemdziesiątce, było nie było) czyli około dwudziestu trzech milionów osób. Ile więc przepala statystyczna osoba? Około sześciuset złotych rocznie.

Nie wiem od jak dawna wiercimy geologicznie i ile to już kosztowało. Rewelacyjnych odkryć nie pamiętam, ale zawsze jest nadzieja, że czegoś się dowiercimy i nie należy ustawać w próbach. Czego natomiast możemy się dopaścić? Cóż nam z tego dymienia w kółko? Żółte palce, żółte zęby, brak apetytu. A pomyślcie: gdyby tak co czwarty palacz rzucił ten nalg, albo wszyscy ograniczyli fajczenie o jedną czwartą, moglibyśmy wiercić za darmo!

W „Polityce” sprzed dwóch tygodni Daniel Passent, dzieli się wrażeniami wyniesionymi z Ameryki. Odczyty prominentnych osób z zagranicy, na przykład rewolucjonistki irlandzkiej, Bernadetty Devlin, cieszą się tam ogromną frekwencją i wywołują gorącą dyskusję. Dlaczego do nas nie zaprasza się takich prelegentów, takich osobistości — zapytuje Passent.

Ba, prelegenci w Ameryce, skądkolwiek by przybyli, przemawiają po angielsku. Na odczyt Passenta, wygłaszany po polsku, przyszedłoby parę pań i kilku studentów z tamtejszej Polonii, i też by nic nie zrozumieli. Kto u nas włączyłby się w dyskusję z Bernadettą Devlin? Te babacie — renciści i dziadkowie — renciści, którzy stanowią żelazną kadrę wszystkich „spotkań z pisarzem” i prelekcji Towarzystwa Wiedzy Powszechnej? Przyjść — to by może i przyszli, bo i tak nie ma co robić w domu, ale jakże tu zabrać głos?

Nie można się przecież ludzi, że w jakimkolwiek, choćby uniwersyteckim, mieście, znalazłoby się trzy tysiące słuchaczy o bieglej, czynnej znajomości języka obcego, połączonej w dodatku z zainteresowaniem właśnie danym tematem. Więc frekwencja byłaby tużinkowa: tuzin osób góra. Zapraszać Bernadettę czy nie zapraszać?

Tym pytaniem kończymy dzisiejszy przegląd prasy.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Bądziak (dział terenowy), Konrad Frejlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Mako-wiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86, telefony: 244-78, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 35, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Ilistonosze oraz PUPiK „Ruch” — z szacunkiem na „Ogłosz”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 1360. S-10.